NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką po cztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA. KRAKÓW, ZACISZE 7. ... TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 7 lipca 1906 r. Nr. 27.

Znowu bomba w Warszawie.

(Treść na stronie 2).



Znowu bomba w Warszawie.

(Do illustracyi tytułowej).

Lotem błyskawicy rozeszła się znowu po Warszawie wiadomość o wybuchu bomby, a mianowicie o dokonanym zamachu na życie naczelnika żandarmeryi kolei nadwiślańskich, podpułkownika Muradowa.

Wypadek przedstawia się w następujący sposób: Około godziny wpół do 5 tej po południu podpułkownik Muradow wraz z towarzyszącym mu podoficerem żandarmeryi Panasiukiem, na ul. Trębackiej, siedli do dorożki jednokonnej, powożonej przez 16 letniego Stanisława Rączkowskiego, polecając woźnicy zawieźć się na dworzec kolei nadwiślańskich. Gdy dorożka wraz z jadącymi znalazła się na ul. Targowej za Kępną, dorożkarz spostrzegł stojącego na chodniku jakiegoś młodzieńca, który trzymał w ręce przedmiot, przypominający swym zewnętrznym wyglądem brukowiec. W chwili zbliżania się dorożki do domu nr. 9, przy ul. Targowej, stojący w tem właśnie miejscu młodzieniec, podniósł ręce do góry, z zamiarem rzucenia trzymanego przedmiotu. Rączkowski, przypuszczając, że nieznajomy chce nań rzucić „kamieniem", zaciął konia. Tymczasem nieznajomy w rzeczywistości rzucił trzymanym w ręce przedmiotem, który trafił w podniesioną budę dorożki, stamtąd potoczył się na stronę, po której siedział Panasiuk — i po skrzydle wachlarza spadł na bruk uliczny. Nastąpił głośny wybuch — lecz już za dorożką. Przerażony koń popędził aż do rogu ul. Targowej, to jest do miejsca, w którem rozpoczyna się podjazd pod dworzec terespolski. Tam woźnica wstrzymał konia. Siedzący w dorożce podpułkownik Muradow i podoficer Panasiuk wysiedli z dorożki i przesiedli się do przejeżdżającej właśnie dwukonki, która szybko podwiozła ich pod dworzec kolejowy. Rączkowski, któremu skutkiem wybuchu spadła czapka, powrócił na miejsce eksplozyi, gdzie podniósł nieuszkodzone nakrycie głowy.

Dorożka została uszkodzona; ślady wybuchu widoczne są na budzie po lewej stronie. Skutkiem wybuchu ściągnięty został lewy but podoficera żandarmskiego Panasiuka. Zresztą ani na bucie, ani na nodze Panasiuka nie zauważono żadnych śladów. Natomiast trafiony odłamkiem w bok Panasiuk otrzymał dość głęboką ranę, nie zagrażającą zresztą zdrowiu żandarma. Podpułkownik Muradow skutkiem wybuchu otrzymał lekką kontuzyę lewej ręki, Rączkowski zaś tłuczoną ranę w tyle głowy. Zdaje się, że rana ta powstała skutkiem uderzenia się o brzeg budy dorożki.

Na odgłos wybuchu po chwili zjawiły się na miejscu silne oddziały wojska, które aresztowały 8 osób. Wszystkie jednak zostały po stwierdzeniu tożsamości wypuszczone na wolność

Zamach na Muradowa stoi w związku z poprzedniemi zamachami na Iwanowa i Proskurjakowa.

Przyjaciółka dzieci.

Po dłuższych cierpieniach umarła w Warszawie ś. p. Jadwiga Papi, znana autorka pisująca dla dziatwy pod pseudonimem „Teresy Jadwigi".

Urodzona z ojca Włocha i matki Polki odbierała wykształcenie przeważnie za granicą. Poważnym studyom języka i literatury polskiej od-



Przyjaciółka dzieci: Śp. Jadwiga Papi, świeżo zmarła w Warszawie zasłużona wychowawczyni i znana autorka powieści dla młodzieży, pisująca pod pseudonimem „Teresa Jadwiga".

dała się dopiero po powrocie do kraju. Mając lat trzydzieści kilka dała się dopiero poznać jako autorka, lecz autorka odrazu lubiana i poszukiwana.

Ś. p. Jadwiga Papi przez czas dłuższy była właścicielką i kierowniczką pensyi żeńskiej, który to zakład należał do najbardziej renomowanych w Warszawie. Wzorowa przełożona, doskonała nauczycielka, cały swój czas poświęcała z zapałem kształceniu młodego pokolenia. Utwory jej powieściowe, zamieszczane w „Przyjacielu Dzieci" i w innych pismach dla młodzieży, miały cechy niepośledniego talentu pisarskiego, szczerego umiłowania wszystkiego, co jasne, dobre i piękne i były chciwie pochłaniane przez młodocianych czytelników. Przedwczesny zgon ś. p. Jadwigi obudził głęboki żal w szerokiem kole wielbicieli jej cichej, a wzorowej pracy.

25 lat inspektorem okręgu.

Zebrane przed tygodniem w Krakowie na konferencyę okręgową nauczycielstwo ludowe okręgu krakowskiego, urządziło inspektorowi p. Józefowi Spisowi serdeczną owacyę z powodu 25 letniego jubileuszu jego pracy na stanowisku inspektora tego okręgu. Uroczystość odbyła się w budynku szkolnym Nowej Wsi Narodowej, poprzedzona nabożeństwem w kościele OO. Karmelitów. Dyrektor szkoły p. Ludwik Kołodziejczyk podniósł zasługi jubilata, które znalazły uznanie nie tylko wśród nauczycielstwa, ale i u władz wyższych, gdyż w tych dniach został p. Spis mianowany radcą cesarskim. Dyrektor szkoły z Półwsia Zwierzynieckiego, poseł Wojtyga, zwrócił głównie uwagę na niezwykłość uroczystości, na miłość i wdzięczność, które uzyskał jubilat na swem stanowisku, na jego pracę społeczną wielkiej doniosłości. Jubilat walczył zawsze o polepszenie bytu nauczycieli i był wobec nauczycielstwa nie urzędnikiem, ale przyjacielem i doradcą. W dowód wdzięczności złożono dar, który — rzec można — urzeczywistni marzenia p. Spisa. Jest to fundacya im. Józefa Spisa dla nauczycieli potrzebujących poratowania zdrowia, które tak łatwo stracić w tym ciężkim zawodzie. Dyrektor szkoły w Krowodrzy p. Woźny podniósł, jaką miłością cieszy się p. inspektor Spis. Jako skarbnik komitetu mowca zdradził tajemnicę, że w krótkim przeciągu czasu zebrano na fundacyę 1.000 kor., a zamierzone jest podniesienie kapitału do 10.000 kor. Zakończył okrzykiem na cześć p. inspektora, który całe zgromadzenie z zapałem powtórzyło. P. inspektor Spis w krótkiem, ale serdecznem przemówieniu podziękował zebranym za urządzoną mu owacyę, zaznaczając, że celem jego życia była zawsze wspólna praca, serdeczne zbliżenie i dobro nauczycielstwa. — Piękny cel fundacyi niezmiernie go cieszy, dawno było to jego myślą, gdyż właśnie w takich wypadkach, nauczycielstwo powinno ratować się samopomocą. Na zakończenie uroczystości udali się zebrani wraz z jubilatem na dziedziniec biblioteki Jagiellońskiej, dla dokonania zdjęcia fotograficznego, które dla każdego z uczestników pozostanie miłą pamiątką.



Fotografował E. Pierzchalski

25 lat inspektorem okręgu: Jubileusz ćwierćwiekowej pracy Józefa Spisa na stanowisku inspektora krakowskiego okręgu szkolnego; grupa wszystkich nauczycieli szkół ludowych całego okręgu z jubilatem pośrodku.

Do źródeł polskości.

I znowu przybyły do Krakowa z odległych krańców Galicyi tłumne wycieczki, złożone po większej części z włościan, z tych, co to dzisiaj nadzieją są naszą i rdzeniem. Przybyły z daleka, aby napoić dusze w tem źródle polskości, jakiem dla nas jest Kraków, aby u grobów polskich królów wchłonąć w serca nadzieję lepszej przyszłości, aby u trumny świętego biskupa-męczennika skrzepić dusze ufnością i pomodlić się za naród, za wszystkich, wybłagać u Boga moc do przetrwania nieszczęść, a siłę do wytrwania i drogi ciągłej naprzód do wyzwolenia. Przybyli z daleka, aby na wzgórzu wawelskiem spocząć, zobaczyć dawnych czasów dzieje, na spiżu i w marmurze wyryte, w królewskim zamku stanąć i czuć, poić się tem, uczuciem, że są na akropolu polskim, że są Polakami. Pełni tęsknoty przyszli ci pielgrzymi polscy do polskiego Rzymu, przyszli dosłuchać się w szumie drzew wawelskich tych szeptów, które im w duszach grają, szeptów nadziei i świadomości swej siły.

Czy odjechali zaspokojeni? Czy unieśli w duszach wspomnienia, które im będą karmią w dniach niedoli? Czy nie rozczarowali się głazami ruin wspaniałej przeszłości i głuchem milczeniem marmurów, kryjących w sobie kości naszych władców?

Chyba nie. Dość im było spojrzeć na twarze, dość było widzieć ich wzrok, mimo znużenia radością jaśniejący, a czuło się, że zaspokoili głód duszy, że cieszą się, skrzepili serca i zaczerpnęli siły do walki.

Najliczniejsze z pomiędzy wielu były wycieczki z Brodów i Przemyśla. Z Brodów przybyło we czwartek wieczór 267 osób, w tem 140 uczniów gimnazyalnych z 12 profesorami i 98 uczenic szkoły wydziałowej z 17 nauczycielkami. Wycieczkę tę widzą Czytelnicy na załączonej fotografii, dla naszego pisma umyślnie zdjętej na stokach Wawelu.

Jeszcze liczniejsza była wycieczka z Przemyśla i Jarosławia, której fotografię również dziś zamieszczamy. Wycieczka ta liczyła przeszło 650 osób, po większej części włościan i włościanek. Najlepszy to dowód, że lud polski budzi się coraz bardziej ze swej niemocy, że zaczyna czuć i rozumieć, że jest rdzeniem i siłą narodu, że chce się kształcić i czerpać ducha z prastarego grodu wawelskiego. Oby tak dalej!



Znowu bomba w Warszawie: Podpułkownik Muradow, naczelnik żandarmeryi kolei nadwiślańskich w Warszawie, na którego przed kilku dniami rzucono bombę do doróżki koło dworca Terespolskiego na Pradze. (Patrz: rycina tytułowa).

Od Administracyi.

Wszystkim P. T. Prenumeratorom naszym, ze względu na konieczność uregulowania nakładu, przypominamy z powodu ukończonego drugiego kwartału i pierwszego półrocza, że czas odnowić prenumeratę, która w Galicyi wynosi z przesyłką pocztową kwartalnie tylko 4 korony, w Królestwie Polskiem bez odsyłania kwartalnie 1 rb. 80 kop., półrocznie 3 rb. 60 kop.; z przesyłką pocztową kwartalnie 2 rb. 60 kop., półrocznie 5 rubli 20 kop.

W Galicyi należy nadsyłać prenumeratę wprost do centralnej Administracyi naszego pisma

w Krakowie, ul. Zacisze l. 7.

w Królestwie Polskiem do biur G. Ungra w Warszawie, ul. Wierzbowa 8, lub Aleje Jerozolimskie 78.

Nowoprzystępujący Abonenci otrzymają na żądanie bezpłatnie początek drukujących się obecnie w „Nowościach Illustrowanych“ powieści sensacyjnych pt.: „Ofiary wampirów“, oraz „Zbrodnia za zbrodnią“.



Fot. na stokach Wawelu umyślnie dla „Nowości Illustrowanych“ Edward Pierzchalski w Krakowie.

Do źródeł polskości: Przybyła w tych dniach dla zwiedzenia Krakowa wycieczka z Brodów, licząca 267 osób, w tem 140 uczniów gimnazyalnych z 12 profesorami, oraz 98 uczenic szkoły wydziałowej z 17 nauczycielkami.

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

15 Ciąg dalszy.

Znowu więc stanął hrabia przed nową zagadką.

Wszak strata Goldenthala musiała być znaczną i sekretarz jego bezwątpienia obrabował go z rzeczy niesłychanie ważnych, skoro chory nie może się pod tym względem uspokoić i ciągle wspomina nazwisko Remana, nigdy bez epitetów w rodzaju łotra, zbója itp. A jednak mimo wszystko nie pozwala na ściganie uciekiniera i protestuje z ogromną stanowczością przeciwko interwencyi policyi. Nie można robić mu na przekór w tej mierze i należy zastosować się do życzenia gościa — myślał sobie hrabia, zastanawiając się nad tajemniczością tej całej historyi.

Na polecenie dziedzica, przeszukał zaraz leśniczy jak najskrupulatniej podziemia starej kaplicy.

Ani nie przeczuwał nawet, schodząc od drzwi na pierwsze schody, że naliczy stopni kamiennych ośmdziesiąt, zanim dotrze do dna jaskini tajemniczej.

Co mu się też nie roiło po głowie przez ten czas..

Z latarnią w ręce, samotny schodził leśniczy powoli, ostrożnie, coraz niżej i niżej, wyobrażając sobie, że Bóg wie, jakie czekają go niespodzianki.

Zdziwienie jego nie miało granic, gdy przekonywał się, iż w piwnicy nie natrafiał na żadne zmiany. Monotonna droga po schodach w głąb podziemia tembardziej utrwaliła go w przeświadczeniu, że dopiero na samem dnie uczyni niezwykłe odkrycie.

Tymczasem schody skończyły się, a zamiast jakichś kurytarzy podziemnych i pieczar pełnych osobliwości, jakie spodziewał się tam zastać na końcu, znalazł się leśniczy, podobnie, jak niedawno temu baron Goldenthal z Ludwikiem Remanem, w obrębie małego czworoboku ścian kamiennych, bliźniaczo do siebie podobnych i wyjść pozbawionych, gdzie prócz sklepienia i podłogi pustej z ziemi nie było bezwarunkowo nic więcej.

— Więc u dyabła, pocóż ten baron tutaj chodził? — szepnął sam do siebie leśniczy.

Poczem zaczął rozmyślać nad tem, kto kogo mógł tu wciągnąć, nie ulegało bowiem wątpliwości, że obaj goście Rożniewskich schodzili również na sam dół jaskini.

Świadczyły o tem ślady liczne, jakie po drodze napotykał on wszędzie.

Musiała się tu odbywać walka na śmierć i życie między tem dwojgiem ludzi. Szamotali się z sobą strasznie. Strzelali do siebie z rewolweru, staczali się w przepaść po schodach...

Jeden stąd wniosek: ów sekretarz barona musiał coś wiedzieć o istnieniu piwnicy pod kaplicą i pod jakimś pozorem wprowadził tu Goldenthala na to, by go obrabować i zamordowawszy, zamknąć jego trupa w miejscu tem właśnie, gdzie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nikt by go nie był szukał i mógł go był nikt nie odnaleźć przez długie czasy.

— Ba, obrabować... dlaczegóż zatem pozostawił tu naprzykład portfel pełny...

Na schodach natrafił właśnie leśniczy na jakiś przedmiot i podniósł go.

Był to istotnie wytworny, z kosztownej skóry portfel kieszeniowy z monogramem barona Goldenthala.

Wypchany banknotami i jakiemiś papierami grubo, musiał przedstawiać wartość ogromną.

— Gdyby to był prosty rabunek, złakomiłby się był złodziej na to przedewszystkiem — pomyślał sobie leśniczy i miał słuszność.

Ślady krwi znowu naprowadzały na domysł, że miało się do czynienia z zamachem morderczym.

I stawał leśniczy przed labiryntem zagadek nie do rozwiązania, podobnie, jak w pałacu, hrabia Rożniewski który sobie nad tem wszystkiem daremnie suszył głowę.

Kiedy baronowi podał hrabia osobiście ów gruby portfel, przez leśniczego mu doręczony po przeszukaniu podziemi pod kaplicą, położył go Goldenthal spokojnie na kołdrze i przewracając się na łóżku, zapytał tonem prawie nieśmiałym, jak gdyby ociągał się z tem pytaniem:

— A czy nic więcej nie znaleziono tam, panie hrabio?

— O, panie baronie, moi ludzie są niezwykle uczciwi — odparł mu spokojnie i poważnie Rożniewski — ręczę panu, że leśniczy nie otwierał tego portfelu, tylko przyniósł go w tym samym stanie, w jakim go odnalazł na schodach w piwnicy... Gdyby zaś było tam cokolwiek więcej, chociażby drobnostka, już byłby mi był ją doręczył, tak samo, jak ten portfel... A nie przeoczył nic, to pewne, bo oczy ma ten człowiek sokole zaiste.... I jeszcze raz powtarzam panu, że za uczciwość jego ja sam gwarantuję...

— O, panie hrabio, tu idzie o taką bagatelkę, która nikomu zresztą na nicby się nie zdała, a jedynie dla mnie ma wartość nieocenioną — podchwycił śpiesznie baron, któremu ciężki kamień spadł z serca, gdy się upewnił nareszcie, iż nie znaleziono szkatułki.

A zatem znajdowała się ona w ręku Ludwiką Remana. Jego to tylko należało teraz śledzić, chcąc odebrać skarb zrabowany z powrotem.

Nadto zaś wiedział Goldenthal, że Reman musiał być zraniony, a w takim razie nie mógł uciekać łatwo, nie mógł być jeszcze bądź co bądź, daleko...

Na tem właśnie opierał Goldenthal w tej chwili plan swój, leżąc jeszcze w łóżku.

Jego narzeczona, na życzenie ojca odwiedziła go parokrotnie w chorobie, dopytując się o jego stan, a ponowne widzenie tej kobiety podnieciło tylko pragnienie barona, by w istocie co rychlej módz posiąść ją już na zawsze.

Przedewszystkiem jednakże szkatułka!

Zbyt wiele zależało mu na odzyskaniu tego skarbu, by mógł zaprzątać sobie myśli w takiej chwili sprawą małżeństwa.

To też wkrótce, ku wielkiemu zdziwieniu hrabiego, oświadczył Goldenthal ojcu narzeczonej, że ważne i zwłoki niecierpiące sprawy wymagają tego nieodzownie, by na kilka dni zjawił się w Warszawie i w Łodzi osobiście.

— Gdybym nie musiał wyjechać, panie hrabio, na pewne nie opuszczałbym dziś jeszcze pańskiego pałacu, proszę mi wierzyć, że muszę — kończył z akcentem.

A słowa te jego przyprawiły Rożniewskiego o zwątpienie, ponieważ mogło ocalić jego i jego interesy, jedynie rychłe małżeństwo Wandy z Goldenthalem i spełnienie przyrzeczeń barona w dniu ślubu.

Dopiero teraz odczuł hrabia Rożniewski owo upokorzenie, w jakie popadł skutkiem stosunku swego do bankiera Goldenthala.

Ale cóż dałoby się teraz odmienić w tem wszystkiem, skoro on sam doprowadził do tego wbrew woli własnych dzieci.

To też w rozpaczliwem zaiste usposobieniu pozostawił hrabiego Goldenthal, odjeżdżając z Rożniewa.

Na Pawiaku.

Całą drogę rozmyślał baron nad tem, od czego ma zacząć, by dość zręcznie pokierować akcyą w celu pochwycenia za wszelką cenę Ludwika Remana ze szkatułką.

I wśród tego wpadł na myśl, która mu obiecywała pomyślne wyniki poszukiwań za zbiegiem, co więcej, upewniała go w przeświadczeniu, że tą drogą przedewszystkiem musi natrafić na ślady uciekiniera-rabusia...

Nie tajnem było Goldenthalowi, że dziewczyna, którą swego czasu uwiódł i porzucił z dzieckiem na bruku, znajduje się obecnie w więzieniu w Warszawie.

Znał zaś o tyle młodego Remana, że dobrze wiedział, jak chłopak ten kochał swą siostrę. Jego on sam miał sposobność uwiadomić o uwięzieniu siostry; więc Ludwik wiedząc o tem, nie omieszka skorzystać z okazyi, by módz przedewszystkiem zająć się uwolnieniem jej z Pawiaku.

Na tem właśnie budował Goldenthal głównie plan swój i już w myślach tryumfował, pewny wygranej. To też trudno mu było doczekać się, kiedy pociąg dojedzie do Warszawy.

Czekało na niego na miejscu tyle interesów pilnych, że nie powinien był Goldenthal ani o chwilę opóźniać swego przybycia do kantoru bankowego.

A jednak uznał on za stosowne udać się przedewszystkiem i to wprost dorożką z dworca Petersburskiego do Pawiaku.

Dwie okoliczności mogły mu bezwarunkowo ułatwić bez przeszkód natychmiastowe widzenie się z Marylką Reman w jej celi, mianowicie to, że jako milionera znano go dostatecznie wszędzie w całem mieście i chętnie robiono mu wszelkie grzeczności i ustępstwa, gdy tego było gdzie potrzeba, a powtóre w tym przypadku znał on jeszcze i dyrektora więzienia na Pawiaku.

Istotnie wszystko poszło łatwo.

Po chwili strażnik z kluczami w ręce prowadził go przez długie bez końca kurytarze do celi, w której siedziała zamknięta Marylka.

Mijali szeregi drzwi z kratkami wśród panującej w więzieniu ciszy.

Po drodze wdał się baron w rozmowę ze strażakiem, który na skutek sutego napiwka służył chętnie odpowiedziami na pytania, zwłaszcza, że nie trudno mu było na nie odpowiadać, ponieważ nie zachodziła potrzeba zdradzania tajemnic tej kategoryi, co do których instrukcya więzienna nakazywałaby mu bezwzględne milczenie.

— O, ta panna Reman przyjmuje tu bardzo częste wizyty — rzekł mu strażnik wśród rozmowy.

— Eh — bąknął baron, aż przystając nagle w tem przekonaniu, że mowa tu o Ludwiku.

— A jakże... Naprzód był tu u niej doktór Anielski...

— Doktór Anielski? — powtórzył zdumiony baron.

— A teraz odwiedza ją codziennie przyjaciel tego waryata, także doktór, nazywa się Wrzesiński... A tamtego Anielskiego już się tu do panny Reman nie dopuszcza teraz...

— Zaraz, zaraz — mówił baron zastanawiając się — więc pan powiadasz, że chodził tu Anielski, doktór Anielski... ależ kiedy?... wszak ten człowiek nie żyje...

— To pan baron nie zna historyi tego waryata?

— Owszem, wiedziałem, że umarł...

— Ee, to dawne czasy...

— Wcale nie tak dawne, chyba, że o kim innym mowa... Ja myślę o młodym doktorze Janie Anielskim, który napewne umarł nagłą śmiercią...

— Tak jest, panie baronie, wcale nie pomyłka... Ten sam... Umarł on i wstał z grobu... Przebudził się...

— Co? Anielski ożył... w letargu był tylko? — aż zachwiał się baron.

— I żyje, ale...

— Ale co, mówże pan, bo to dla mnie ważna wiadomość...

— Zwaryował zaraz... przewróciło mu się w głowie... Zresztą niema się co dziwić... w trumnie leżeć żywcem, to panie baronie...

Przerwał mu Goldenthal:

— I gdzież on jest teraz...

— Tutaj... u nas siedzi...

— Dlaczego? jakto, zamknięty na Pawiaku... a czy tu dopiero zwaryował?

— Ah, to panie baronie, cała historya...

— I zupełnie jest nieprzytomny?

— No, niby całkiem ma przewrócone w głowie...

Wśrod tego ktoś nadchodził i baron przerwał rozmowę ze strażnikiem, który za chwilę otworzył mu jednę z cel więziennych.

Goldenthal stanął oko w oko przed swą ofiarą — Marylką Reman.

Co było w szkatułce.

W okolicach Rożniewa zaczęto dopytywać się o zbiegłego sekretarza barona.

Szukano go naokół, lecz nigdzie nie udało się wpaść na jego ślady.

Dopiero w Rybiszkach znaleźli się ludzie, którzy mieli sposobność widzieć człowieka podobnego do poszukiwanej figury.

Ten i ów zapewniał solennie, że zauważył takiego pana obcego w zajeździe „pod czaplą".

Wzięto się tedy do indagacyi na ostro.

Lola Czaplicka dawała tak wymijające odpowiedzi na pytania, że nie sposób było dać sobie z nią rady. Jeszcze wszystkim wymyślała za to, jak ktoś od niej śmie żądać, żeby pamiętała rysopis każdego obcego gościa, zwłaszcza, że się ich tylu przewija codzień przez zajazd...

A tymczasem właśnie „pod czaplą" zatrzymywały się podejrzenia najdłużej. Wiadome bowiem było, że ów sekretarz barona Goldenthala mieszkał stale w Łodzi, a przecież akuratnie w tem mieście przebywała Lola w ostatnich czasach.

Stąd wniosek naturalny, że oboje młodzi ludzie mogli byli znać się tam dawniej i Remanowi mógł nie być tajnym dzisiejszy jej adres, wobec czego z chwilą, gdy w nieczcze po obrabowaniu barona, szukał on gwałtem bezpiecznego schronienia — udał się przedewszystkiem do Rybiszek pod jej opiekę, pewny, że w razie czego, pościg za nim skieruje się w stronę przeciwną, a więc do Warszawy w pierwszym rzędzie i dalej za granicę, a nie do jakichś zapadłych kątów w głębokiej prowincyi.

Kiedy wyniki poszukiwania zawiodły na razie, oświadczono Loli Czaplickiej, że bezwarunkowo za-

chodzi konieczność przeprowadzenia ścisłej rewizyi w całym zajeździe.

Dziewczyna jednak ani nie drgnęła na tę wiadomość, mimo, że wiedziała, iż w tej chwili Ludwik znajduje się w jej pokoju wraz ze swą kasetką.

Ale od czegóż fortele kobiece...

Tak zręcznie manipulowała Lola, że mimo rewizyi w całym domu, nie wchodzono do jej pokoiku.

Po naradzie jednak zdecydowano się i na to. Otwarły się drzwi do jej panieńskiej sypialni, ale kiedy z progu nie dostrzeżono wewnątrz nikogo, Lola wybuchnęła oburzeniem, zasypując wszystkich gradem obelg za to, że ktoś mógł ośmielić się podejrzenia doprowadzać tak daleko i tem samem uwłaczać jej dobrej sławie...

To się jednak musiało im wydać podejrzane. Zaraz bowiem po takich jej słowach weszli właśnie do środka pokoju, rozejrzeli się wokoło, wąchali podejrzliwie, wreszcie zbliżyli się do łóżka...

A wtedy wypadł z pod niego pies ogromny, szczekając zawzięcie, rzucił się na nieproszonych gości i dalejże do łydek...

Więc zaczęło się zmykanie po schodach z góry na dół. Ale pies nie powstrzymywany wcale przez pannę Czaplicką, ujadał i ciskał się tak na wszystkich, że trudno im było opędzić się przed jego napadem....

A Lola wzięła się pod boki i śmiała się do rozpuku...

— A to psiekrwie niewierne! Widzą bestye z progu, że nikogo niema w pokoju i pakują się dalej... Dobrze im tak, dobrze!

Dopiero kiedy wszystko się uciszyło i nikt nie pozostał w zajeździe po ukończeniu rewizyi bez żadnego wyniku — poszła Lola sama z powrotem do swego pokoju, gdzie pies czuwał już nanowo, naszczekując jeszcze co chwila z cicha pod wpływem poprzedniego wzburzenia — i stanąwszy nad łóżkiem, szepnęła:

— Jesteś Ludwisiu bezpieczny...

Pod ową pierzyną spędził Ludwik czas długi nieruchomo i niczem nie zdradził swej obecności Również w tem łóżku, zakopana w piernatach głęboko, znajdowała się ukryta szkatułka

Teraz Reman odetchnął. Był na razie ocalony, a zawdzięczał to Loli.

Czasu jednak nie można było tracić daremnie Pojmowali to oboje. Więc zaczęło się bezzwłocznie przygotowanie do wspólnej ucieczki.

Postanowiono wybrać się cichaczem nocą z domu i pójść pieszo drogami bocznemi, które Lola znała dobrze i uznała za zupełnie bezpieczne.

Przed świtem powinni byli znaleźć się na stacyi kolejowej — nie najbliżej od Rybiszek, gdyż obawiali się, że właśnie na tym przystanku kolei, do którego było z „pod czapli" najbliżej i skąd zazwyczaj wszyscy z tych stron odjeżdżali, może oczekiwać ich ktoś niepowołany...

Lola w tym celu przyodziała się po chłopsku i tak samo przebrała Ludwika.

Podskoczyła z uciechy na widok mężczyzny w spódnicy, zadowolona, że tak jej się udało przeistoczyć go zręcznie.

— Słowo ci daję, że niktby się w tobie chłopca nie domyślił...

Zarówno jednak swoje zwykłe suknie, jakoteż jego męskie ubranie, zabrała ze sobą, porobiwszy odpowiednie zawiniątka; w jednem z nich naturalnie zniknęła przed wzrokiem ciekawskich ciężka szkatułka.

Nikt nie zauważył w domu jej wyjścia, nie mówiąc o nim, bo obecności obcego mężczyzny wogóle w mieszkaniu nikt się nie domyślał.

Pies, czując Lolę, sprawował się cicho i również nie sprawił alarmu.

Uważano pilnie, żeby w okolicach zajazdu nie było ludzi wcale w tej chwili, gdy wychodzili.

Więc dosłownie niepostrzeżenie dostali się z głównej drogi, przy której stał dom Czaplickiego, do gaju brzozowego, gdzie o tej porze mogli być zupełnie swobodni.

Stąd szeroką miedzą kamienistą wśród pól, pustych i odludnych dniem i nocą, przeszli wkrótce do kniei ciemnej, trzymając się wciąż dróżki, którą tak umiała Lola na pamięć, że nie obawiała się zbłądzić nawet w nocy. Zresztą noc była prawie biała, jak to bywa w tych okolicach, to też nie szli po omacku. Na kilkanaście kroków przed sobą rozróżniali wszystko, nawet dość dokładnie, tembardziej, że szli wśród lasu drożyną doszczętnie wykarczowaną, na parę kroków szeroką.

Trochę ciężko im było dźwigać po tobołku, ale tak byli zadowoleni, że wszystko poszło im pomyślnie dotychczas — iż nie narzekali na to, rozmawiając swobodnie, acz ciągle szeptem.

Istotnie po nocy w postaciach dwóch włościanek, raźnie idących ze swemi ciężarami, nikt nie byłby podejrzewał przebranego za kobietę kantorowicza łódzkiego w towarzystwie ekskelnerki.

Rozmowa o rzeczach obojętnych ustała i od jakiejś godziny prawie szli obok siebie w milczeniu.

Reman błądził myślami daleko.

Chwilami wracał niemi do Rożniewa, a w szczególności do tajemniczego podziemia pod starą kaplicą zamkową i wówczas nie mógł się opędzić widmu barona Goldenthala.

To znów snuł rozmaite przypuszczenia na ten temat, co też w Łodzi mówią teraz o nim w kantorze. Wszak muszą tam już wszyscy wiedzieć o jego postępku... Ba, czyż wiedzą? A jeżeli do tej chwili służba z pałacu Rożniewskich nie odnalazła w piwnicy sekretnej samego Goldenthala, to w Warszawie i w Łodzi wiedzą wszyscy co najwyżej o dziwnem zniknięciu barona i jego sekretarza... To byłoby lepsze...



— Zaraz. zaraz — mówił baron, zastanawiając się — więc pan powiada, że chodził tu Anielski doktor Anielski... Ależ kiedy?.... Wszak ten człowiek nie żyje....

Nie miał Reman pewności co do tego, czy baron żyje, czy nie. Było to prawdopodobne, że mógł zginąć w tym grobie, gdzie zostawił go Ludwik samego. Wszelako i to było możliwe, że w porę pomoc nadeszła z pałacu i barona uratowano, że więc co najwyżej leży jeszcze chory u Rożniewskich.

Tak i owak myśląc o tem wszystkiem, co chwila inne wysnuwał Reman wnioski, na podstawie których budował swoje plany na dni najbliższe i na przyszłość, ciągle je odmieniając, ale nie chcąc zwierzać się zbyt z niemi przed Lolą.

Ona zaś przez cały czas oddawała się marzeniom o bajecznej przyszłości... Co się też dziewczynie nie roiło w czasie tej wędrówki przez las...

Już doznawała wrażenia, że okręt unosi ją przez Ocean do Ameryki, a tam cóż za wesołe czeka ją życie z Ludwikiem!...

Wreszcie uczuła się tak już znużona drogą, że zaproponowała odpoczynek swemu towarzyszowi, niemniej od niej zmęczonemu, zwłaszcza, że ciężar jego przez ukrytą w tobołku z ubraniem kasetkę był większy od zawiniątka Loli.

Usiedli na kupce kamieni.

Przysunęła się Lola do niego i pogłaskała go po twarzy, przymilając mu się.

— Ludwiś... słuchajno ty, brzydaku, takiś niegrzeczny...

— Słucham... Czemuż to mam być niegrzeczny... nie mówiłem nic, bo miałem dużo do myślenia...

— To też ja ci nie przeszkadzałam. A teraz także chcesz myśleć, co?

— Dlaczego pytasz mnie o to...

— Mój złociutki, nie bądźże taki niepoczciwy, Ludwiś.. powiedz mi nareszcie, ile tysięcy rubli może się znajdować w tej szkatułce?... Taka ciężka...

— Aha, nad tem myślałaś całą drogę — zaśmiał się Reman.

— Skoro tak jest ciężka, to musi być w niej bardzo dużo pieniędzy, prawda?

— Zapewne i ja tak sądzę..

— Eh, taka odpowiedź... Przecież ty musisz wiedzieć, ile mniej więcej mieści się w niej... W przybliżeniu możesz mi chyba powiedzieć szczerze...

— Bądź Loluś spokojna, wystarczy dla nas obojga...

Zaiskrzyły się jej oczy. Nachyliła się ku niemu...

— Samo złoto... Co? — szepnęła.

— Dyamenty, dziecko, dyamenty!

Dziewczyna porwała się oburącz za głowę i kołysała się oszołomiona dźwiękiem tego magicznego słowa.

— Powiadam ci... same kamienie niezwyczajnej wielkości — objaśniał ją Reman poważnie — wspaniałe dyamenty!...

Lola oparła głowę na jego kolanach i przymknąwszy oczy, marzyła... Zdawało jej się, że śni, a był to sen złoty, dyamentowy sen... Jakby zaklęta — przeżyła dziewczyna kilka chwil czarownego życia królewnej z bajki...

Aż naraz ocknęła się.

— Proszę cię, Ludwisiu, powiedz mi. w którym hotelu staniemy...

— To mi obojętne...

— W każdym razie musimy zamieszkać w takim, gdziebyśmy nie byli żenowani, gdzieś, widzisz, tam, gdziebyśmy mogli uchodzić za męża i żonę, dobrze Ludwiś... No i potem o to idzie jeszcze, żeby można swobodnie i bezpiecznie przeliczyć nareszcie te skarby... żeby wiedzieć, jaka ich wartość... Zresztą, naturalnie, zaraz musisz się ich pozbyć, spieniężyć je... A zależnie od tego, ile za to uda się dostać, wiedziałoby się dopiero, co w dalszym ciągu począć... Prawda, Ludwiś? Czemuż nic nie mówisz... No, cóż będziemy potem robili?

Reman jeszcze milczał zamyślony nad losem swej biednej siostry, mimo to słuchał paplania Loli.

Wtedy ona wsunęła mu rękę swoją pod ramię i główkę wsparła o nie.

— Moglibyśmy wtedy pobrać się — rzekła naraz Czaplicka, jakby sama do siebie.

— My? — wyrwało się na to z ust zdziwionego jej pomysłem Ludwika Remana. — Zapominasz Lolo...

Zerwała się dziewczyna z kamieni i stanęła naprzeciw niego, prostując się w postawie prawie groźnej.

— Ej, stary przyjacielu... Nie zadzierajno ty teraz nosa zanadto i nie zapominaj, że przed kilku godzinami byliby cię dostali, ciebie i szkatułkę dyamentową wraz z tobą... tam pod pierzyną... zapomniałeś już o wszystkiem... Może zaprzeczysz mi, że gdyby nie ja...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wystawa robót kobiecych w Krakowie.

W poprzednim numerze naszego pisma zamieściliśmy krótki artykulik o tej wystawie; powracamy do niej dziś jeszcze, przynosząc równocześnie trzy fotografie, które mogą dać najlepsze wyobrażenie, z jakim smakiem ta wystawa została urządzona, jak starannie ją zapełniono i jakie wspaniałe na niej znajdowały się okazy.

Zaczniemy więc zwiedzanie wystawy od początku.

Przy wejściu zaraz znajduje się mała salka, w której pomieszczono koronki klockowe. Dział ten zostaje pod kierunkiem p. Kornelji Mayerberg. Widać tam mnóstwo próbek o motywach najrozmaitszych, na których prowadzona jest nauka. Są tam sztuczki, wstawki koronek w rozmaitym stylu, chusteczki, serwety, kapy na łóżka, cała masa przedmiotów nie tylko olśniewających efektem i subtelnością wykonania, ale i nadzwyczajnie pożytecznych. Prócz tego znajduje się tam mnóstwo wzorów do koronek, przygotowanych do reprodukcyi i reprodukcye tychże, czyli tak zwane wykolanki, na których wykonuje się koronki. Rzeczy te mają ogromną wartość pedagogiczną. Są to dzieła pań nauczycielek, oraz jednej z byłych uczenic szkoły, nadzwyczaj utalentowanej koronczarki i rysowniczki p. Natalii Karyłowskiej.

Wchodzimy do sali drugiej, gdzie się mieści wystawa prac II. kursu szkoły, obejmująca szycie białe ręczne i maszynowe. Na licznych okazach, tak licznych, że faktycznie czasem trudno się zoryentować, przedstawiony tam jest system nauki, począwszy od robót najskromniejszych. Są tam więc koszule i koszulki, ranne ubrania, peniuary, poszewki, serwety, serwetki, fartuszki, kapki na poduszki, wszystko wykonane z zadziwiającą wprost delikatnością. Na każdym, najmniejszym nawet drobiazgu, czuć subtelne paluszki kobiece. Z pomiędzy prac wystawionych w tym dziale zwracają szczególną uwagę prace pp.: Bigajównej, Schünke, Rutowskiej, Kadulównej, Kosydarskiej i Skibskiej. Pomiędzy bielizną, z nadzwyczajnym artystycznym



Przywódca trudowików: Poseł włościański Aładin z Symbirska, stojący na cze'e grupy pracy w Dumie rosyjskiej, znakomity mówca parlamentarny.

smakiem na stołach porozkładaną, podoba się szczególnie ozdobna bielizna męska i damska, szczególnie zaś kościelna. Jedną ścianę zdobi prześliczna bielizna stołowa w stylu zakopiańskim, wykonana przez uczenice i praktykantki pp.: Hankiewicz i Kułakowską. Na stole środkowym uderza oko prześliczny, oryginalny kaftanik bronowicki, wykonany z pięciu wzorzystych chustek przez p. Bachorzównę pod kierunkiem p. Mühln. O całości wystawy tego działu da najlepsze pojęcie załączona obok fotografia opisanej sali.

Przechodzimy do oddziału robót włóczkowych, zostającego pod kierunkiem p. Rychterowej. Jest tam mnóstwo przedmiotów, wykonanych z włóczki, bawełny, a nawet jedwabiu, przedmiotów i pięknych i do codziennego potrzebnych użytku. Są tam rozmaite drobiazgi dziecinne, przybrania do pościeli, serdaki damskie, chustki, ręczniki dekoracyjne, prześliczny kostyum bułgarski, mimo mnóstwa kolorów nie rażący jaskrawością, ale nadzwyczaj harmonijny, dalej roboty deskowe, siatkowe i włóczkowe, oraz pasmanteryjne, wśród których przykuwają oko wspaniałe kołnierze, szale balowe itp. Najpiękniejsze prace wystawiły uczenice pp.: Przybylska, Kuczyńska, Neumanówna, Wojciechowska, Robotówna, Gutowska i Schünke. Ponadto są tam prześliczne roboty warstatowe, jak dywany smyrneńskie, i inne wyroby tkackie, prześliczne w wykonaniu. Zamieszczona obok fotografia da w przybliżeniu Czytelnikom pojęcie, jak się ten dział wspaniale reprezentował na wystawie.

Z sali tej wchodzimy do sali krawieczyzny. Na wstępie wpada zaraz w oczy prześliczna suknia w stylu „empire“ z tafty różowej, ozdobiona przepysznym ornamentem kwiatowym różowo-czerwonym, wykonanym podług kompozycyi p. Niedźwieckiej przez p. Hankiewiczównę, przeznaczona dla jednej z artystek teatru poznańskiego. Suknia ta, według wzorów nauczycielki oddziału p. Maryi Niedźwiedzkiej, jest istnem arcydziełem kunsztu krawieckiego. Utrzymana wzorowo w stylu, odznacza się prawdziwą fantazyą udrapowania i pysznem zestawieniem kolorów. Patrzymy da-



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustrowanych“; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Wystawa robót kobiecych w Krakowie: Prace uczenic krakowskiej szkoły robót kobiecych przy ulicy Kolejowej: sala robót włóczkowych.

łej — i zdaje nam się, że mamy przed sobą całą wystawę pierwszorzędnej pracowni zagranicznej, tyle tam sukien tak pięknych i z takim smakiem wykonanych. Świadczy to, że kurs ten cieszył się rzeczywiście dużą sympatyą uczenic, a panie na-



Królewna armatnia: Najlepsza „partya“ w Europie, wnosząca mężowi 200 milionów posagu panna Berta Krupp, najstarsza córka rozgłośnego „króla armatniego“, którego fabryki dostarczają dział dla wszystkich mocarstw.

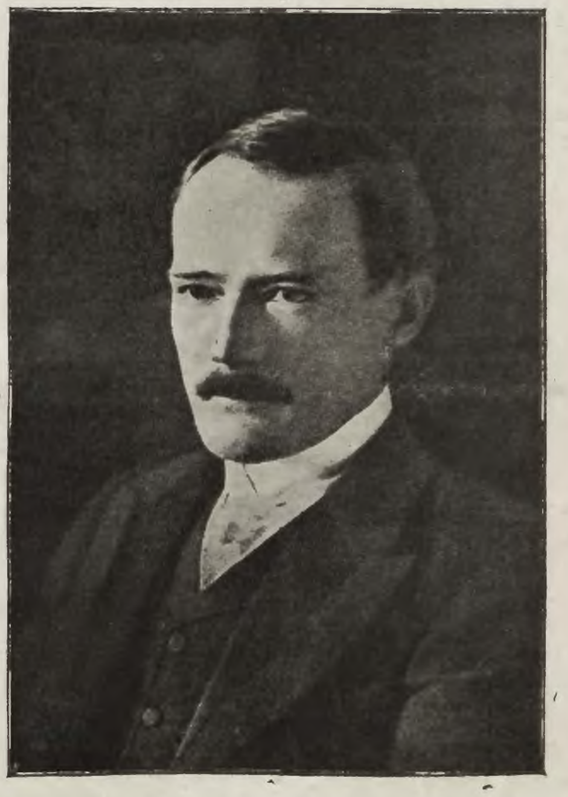
uczycielki nie szczędziły pracy, ani trudu, aby w młode panienki wszczepić artystyczny zmysł pięknej, stylowej pracy. Zamieszczamy obok również i fotografię tej sali.

Ogółem cała wystawa robiła wrażenie imponujące. Życzyćby tylko należało, aby w roku przyszłym urządzono ją w lokalu większym i postarano się o to, aby publiczność liczniej ją zwiedzała, bo widzieć taką wystawę warto.

Przywódca trudowików.

Kiedy dnia 10 maja zebrali się po raz pierwszy przedstawiciele narodu rosyjskiego i wszystkich innych narodów, pod berłem rosyjskiem pozostających, ani Rosya sama, ani nikt w Europie nie przypuszczał, że w Dumie tej zasiędą ludzie, którzy poprostu są urodzonymi politykami. Kiedy na trybunie parlamentarnej ozwały się pierwsze słowa, zdumiał się świat cały, bo o takich mówcach w Rosyi nie miał pojęcia.

Jednym z najzdolniejszych posłów, a zarazem najświetniejszych mówców w Dumie jest znany i głośny już dzisiaj przywódca grupy pracy, tak zwanych trudowików, poseł z Symbirska, Aładin, którego portret dzisiaj zamieszczamy. Mówca to znakomity, bodaj czy nie jeden z najlepszych na świecie, zaiste urodzony trybun ludowy! Każda jego mowa robi na posłach, zwłaszcza na posłach włościańskich piorunujące wrażenie. Bo mówca ten działa nie tyle na rozum, ile na uczucie. Głos jego brzmi nieraz jak stalowy grzmot, to znowu drży od wewnętrznego bólu, to płacze wzruszeniem, albo huczy niby piorun, gdy z wyrazami potępienia zwraca się do przedstawicieli rządu. To istny aktor na trybunie parlamentarnej, który umie grać nawet na takich twardych nerwach, jak u rosyjskiego chłopa. Kiedy mówi, w sali panuje cisza zawsze głęboka, z ław chłopskich tylko często słychać westchnienie, to głuche przytakiwania. Aładin zaś panuje nad mózgiem i sercem słuchacza. Z oczu ciska błyskawice gniewu, które najbardziej nawet zaspaną duszę chłopa rosyjskiego zapalić są zdolne, to znowu roztkliwi się i żali, że niejednemu łzy z oczu wyciska. Celu nigdy nie chybia. Potęguje świadomość własnej siły narodu. A kiedy oburzony zacznie wymachiwać rękami, kiedy głos jego urasta do potęgi grzmotu, a na policzki wystąpią mu rumieńce, porywa za sobą wszystkich. Czuje się, że jedno słowo wystarczy, jedno jedyne słowo jeszcze, a pójdą za nim dziesiątki posłów



Królewna armatnia: Szczęśliwy narzeczony dziedziczki 200 milionów, panny Berty Krupp, córki „króla armatniego“ młody dyplomata Gustaw de Bohlen.

chłopskich i robotniczych. Mówi słowami prostemi i jasnemi, ale ciętymi, jak ostre noże, jędrnymi i krótkiemi, ale przekonywującymi. Nic dziwnego, że grupa pracy za nim przepada, że chciała przeforsować jego wybór na drugiego wiceprezydenta



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustrowanych„; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Wystawa robót kobiecych w Krakowie: Prace uczenic krakowskiej szkoły robót kobiecych przy ulicy Kolejowej: Oddział krawieczyzny.



(Fot. dla „Nowości Illustrowanych W. Lis.)

Wystawa robót kobiecych w Krakowie: Prace uczenic krakowskiej szkoły robót kobiecych przy ulicy Kolejowej: Oddział białego szycia.

Dumy. Ale ten wybór byłby może był hasłem do rozwiązania Dumy przed rozpoczęciem obrad, więc kandydatura jego upadła. W każdym razie dzisiaj wybił się Aładin, a dzięki niemu i grupa pracy, której jest przywódcą, prawie że na czoło stronnictw, w Dumie istniejących.

Jak widać na załączonej dziś rycinie, Aładin to człowiek wysoki, o twarzy chudej, ozdobionej niewielkim wąsikiem. Kiedy idzie ulicą w swej angielskiej kurtce i dżokejce, niktby nie przypuszczał, że człowiek ten płomienną swoją wymową potrafi tysiące, setki tysięcy za sobą pociągnąć. Ciało jego wątłe, ale w ciele tem duch wielki i gorący, dusza czysta i prawa, kochająca swą ojczyznę i pragnąca jej wyzwolenia. Radykał do szpiku kości, zdąży w mowach swych nieraz za daleko, tak, że prezydent Muromcew, podczas jego mowy, musi mu ciągle prawie przerywać, ale przytem jako poseł tęgi, jako przywódca swego stronnictwa, niezmordowany w pracy.

Królewna armatnia.

Czytelnicy nasi znają zapewne doskonale nazwisko Kruppa, owego niedawno zmarłego właściciela największej na świecie lejarni armat w Essen w Niemczech. Jak się w dzisiejszych czasach zbrojnego pokoju taka fabryka armat opłaca, najlepszym tego dowodem jest fakt, że śp. Krupp, umierając, pozostawił majątku okrągłą sumkę 400 milionów marek, nie licząc fabryki doskonale we wszystko wyposażonej i przynoszącej rokrocznie pokaźny dochód kilkuset tysięcy koron. W Ameryce jest kilkunastu milionerów, królów złota i td. w Europie był jeden król armatni — Krupp.

Nic dziwnego, że w całych Niemczech, ba, nawet w całej Europie, z ciekawością czekano wiadomości, komu też przypadną w udziale owe miliony Kruppa, inaczej mówiąc, komu odda swą rękę najstarsza córka Kruppa, owa królewna armatnia, będąca wraz z młodszą siostrą spadkobierczynią całego milionowego majątku. Niektórzy sądzili, że zgłoszą się z prośbą o rękę nadobnej królewny armatniej, głodni zawsze na pieniądze książęta niemieccy, którzy w tym wypadku nie będą patrzeć na tak kiedyindziej przestrzeganą starożytność rodu i błękitność krwi swojej przyszłej połowicy, przekonani, że ich cesarz Wilhelm rozgrzeszy choćby nadaniem książęcego tytułu pannie Krupp. I podobno nie brakło z tej strony zakusów o rękę królewny armatniej, ale nadobna panna Berta Krupp, której fotografię dziś zamieszczamy, ufna widocznie w to, że mając pieniądze, może sobie wybrać małżonka, jaki jej się tylko spodoba, którego sama pokocha, odpalała każdego ze starających się o nią, choćby nawet książęcą mitrą ozdobionego. Postanowiła wyjść za mąż z miłości; mając 200 milionów posagu, mogła sobie na to pozwolić — i zaręczyła się niedawno ku powszechnemu zdumieniu Niemców nie z księciem, ale ze zwyczajnym dyplomatycznym urzędnikiem, drem Gustawem von Bohlen und Halbach. Szczęśliwy wybraniec armatniej królewny, którego fotografię również obok zamieszczamy, pochodzi ze starej wprawdzie i wysoko poważanej, ale majątkowo podupadłej rodziny badeńskiej. Po



Fot. umyślnie dla „Nowości Illustrowanych“ Marek Münz.

Popis ciemnych: Grupa wychowanków zakładu dla ciemnych przy ul. św. Zofii we Lwowie, z okazyi dorocznego egzaminu z dyr. Jouganem i gronem nauczycielskiem.

ukończeniu prawa na uniwersytecie berlińskim i uzyskaniu doktoratu pracował p. Bohlen w rozmaitych dziedzinach prawa, w skarbowości i w bankach, wreszcie w roku 1897 wstąpił na służbę dyplomatyczną, która go zawiodła do Waszyngtonu, a w czasie rozruchów chińskich do Pekinu. Dzisiaj jest dr Bohlen radcą legacyjnym niemieckiego poselstwa przy Watykanie.

Popis ciemnych.

Przed kilku dniami w zakładzie ciemnych we Lwowie odbył się doroczny popis wychowanków tej instytucyi w obecności pp. Hawryszkiewicza członka dyrekcyi zakładu, prof. Ciesielskiego, delegata krajowej Rady szkolnej, oraz sekretarza



Książę Almadovar: Świeżo zmarły w Madrycie hiszpański minister spraw zagranicznych Don Juan Manuel de Castro książę Almadovar del Rio, który niedawno przewodniczył konferencyi marokkańskiej w Algesiras. (Do artykułu na stronie 20).

Jabłońskiego, delegata Wydziału krajowego, oraz licznej publiczności. Naprzód odbył się popis uczniów ochronki a następnie popis muzyczno-wokalny, na program którego złożyły się produkcye chóru mieszanego, fortepianowe, na harmonium oraz na skrzypcach. Po popisie nastąpiło zwiedzenie wystawy prac wychowanków i wychowanek zakładu, obejmującej wyroby koszykarskie oraz roboty kobiece.

W roku 1905/6 było w zakładzie wychowanków 54, z tego w oddziale wyższym 44, w ochronce 10 — chłopców 29, dziewcząt 25. W roku kalendarzowym 1905 wynosił przychód z majątku własnego, subwencyi, darów i datków na utrzymanie wychowanków kor. 45.567·01, wydatki zaś kor. 42.346·34.

W bieżącym roku szkolnym zaprowadzoną została nauka strojenia fortepianów dla starszych wychowanków, umożliwiająca im po opuszczeniu zakładu zarabiać na swe utrzymanie strojeniem. Projektowana nauka szczotkarstwa nie mogła być dotychczas zaprowadzona, z braku odpowiednio ukwalifikowanego instruktora, dyrekcya stara się jednak usilnie o wprowadzenie tego działu, który w praktyce mógłby wychowankom oddać znaczne korzyści.

* * *

Podajemy dziś Czytelnikom dwie fotografie, których widok musi wzruszyć każdego czułego na nędzę ludzką. Jedna grupa to wychowankowie lwowskiego zakładu dla ciemnych przy ul. św. Zofii, druga, to umyślne zdjęcie z ich popisu muzyczno-wokalnego na egzaminie tegorocznym.

Cesarzowa na wulkanie.

Pomimo późnego wieku lat ośmdziesięciu, pomimo trudności chodzenia przez konieczność podpierania się laską, ekscesarzowa Eugenia zachowała po dziś dzień jeszcze znane swoje zamiłowanie do podróży. Oto niedawno przybyła sędziwa monarchini, krążąc po morzu Śródziemnem na swym jachcie, do Neapolu, żeby naocznie przekonać się, jakim też zmianom uległ po ostatnim wybuchu Wezuwiusz... I nie z miasta tylko przyglądała się kształtom stożka, ale wybrała się na szczyt wulkanu. Postanowiła bowiem odwiedzić osobiście obserwatoryum na Wezuwiuszu, gdzie podczas najstraszniejszych orgij wulkanu przetrwał z dzielnymi druhami sławny profesor Matteucci do końca. Na naszej rycinie, według zdjętej na miejscu fotografii, widzimy ją właśnie wchodzącą do obserwatoryum w towarzystwie sekretarza Pietriego i księcia Colonny, dawnego mera Rzymu. Obejrzawszy wszystkie aparaty, oprowadzona przez dyrektora Matteucciego, cesarzowa Eugenia opuściła zadowolona obserwatoryum, żeby udać się na wycieczkę do Pompei i do Bosco Trecase, które zniszczył ostatni wybuch Wezuwiusza.

Sędziwa wdowa po cesarzu Francuzów, Napoleonie III, czuje się jeszcze bardzo dobrze, na dziewiąty krzyżyk, który dźwigać zaczęła przed paru miesiącami, nie narzeka jeszcze i myśli pono o tem, kogoby teraz wyswatać, skoro Ena Battenberska już spędza miodowe miesiące z Alfonsem XIII-ym.



Cesarzowa na wulkanie: Ośmdziesięcioletnia cesarzowa Eugenia, była monarchini Francuzów, wdowa po Napoleonie III., wchodząca w towarzystwie księcia Colonny i swego sekretarza, do obserwatoryum prof. Matteucciego na Wezuwiuszu, żeby osobiście stwierdzić, jakie zmiany wywołał ostatni wybuch wulkanu.



Fot. umyślnie dla „Nowości Illustrowanych“ Marek Münz.

Popis ciemnych: Popis muzyczno-wokalny na publicznym egzaminie w zakładzie ciemnych we Lwowie. Przy fortepianie uczeń ciemny bez ręki prawej.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

16 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

Drżąc z gorączkowego podniecenia, rzucił się znowu na krzesło, położył kasetkę z farbami na kolana i zabrał się do pracy z taką energią, że nie przestał, aż mu pastela wypadła z ręki, a do pokoju przedarły się promienie wschodzącego słońca i zlały się z żółtem światłem lampy, co go musiało rozdenerwować.

Wstał i całował wzrokiem swój nieżywy model, ale wkrótce opanowało go takie znużenie, że zasłonił miejsce, gdzie leżała zmarła, jedwabną kotarą, a sam rozebrał się i położył na dywanie. Zasnął wkrótce ciężkim snem i nie przebudził się aż po dwunastej w południe, kiedy usłyszał, że ktoś dzwoni do bramy. Pobiegł do okna i zaspanemi oczyma spojrzał na dół. Jakiś pan w długim płaszczu stał przed drzwiami.

— Idę zaraz — zawołał i zbiegł po schodkach, aby gościa wpuścić

Dom był cały zajęty przez Simerenkę; oprócz niego nikt w nim nie mieszkał. Codziennie przychodziła doń tylko posługaczka, aby porobić porządki, ale i to robiła tylko pod jego nadzorem.

Gość jego był to handlarz obrazów, który go nieraz odwiedzał, bo obrazy Simerenki cieszyły się ogromnym popytem. Kupowano je po bardzo wysokich cenach, a kupcami byli niejednokrotnie sami artyści malarze, których nęciły oryginalne dzieła samotnika.

— No, panie Simerenko, ma pan może co gotowego dla mego salonu? Od dłuższego czasu już żeś pan nic u mnie —

Urwał nagle i podszedł parę kroków naprzód.

— Do stu piorunów! — zawołał olśniony — masz pan przecie pastelę — toż to arcydzieło pierwszej wody!

W oczach malarza zabłysły ognie.

— Tak pan sądzisz? — zapytał na pozór zupełnie obojętnie, podczas, gdy serce drżało mu z radości, kiedy zobaczył obraz, jaki przez całą noc malował.

Rzeczywiście, ten obraz udał mu się, jak żaden inny.

Handlarz obrazów, który był właśnie u Simerenki, posiadał w stolicy jeden z największych salonów wystawowych i należało to w wyższych sferach do dobrego tonu, salon ten jak najczęściej odwiedzać. Ale też właściciel starał się uczynić swoją wystawę rzeczywiście zajmującą i wartościową.

Podszedł teraz do obrazu, przyjrzał się, potem się cofnął i z miną znawcy zaczął go obserwować.

Obraz wytrzymał wszystkie próby. Z bojaźnią więc prawie i z szacunkiem zwrócił się handlarz do malarza, który niedbale i obojętnie na pozór opierał się na kominku.

— Panie Simerenko — zaczął — niech pan będzie łaskaw i pozwoli mi obraz ten zabrać zaraz ze sobą. Umieszczę go w salonie w najlepszem miejscu; zobaczy pan, że zrobi furorę.

— Żałuję bardzo — odparł chłodno malarz — jednak nie mogę pasteli tej puścić z rąk, bo to jest szkic do wielkiego obrazu olejnego.

Twarz handlarza wydłużyła się.

— Ale, mój panie najdroższy, pozwoli mi pan przynajmniej wystawić go na parę dni.

— Ani mowy o tem, panie Milo! Przecież szkicu do obrazu sprzedawać nie będę.

— Ależ to przecie nie jest szkic — mówił Milo, zapalając się coraz bardziej do obrazu — to jest w sobie zamknięte, skończone dzieło sztuki, za które możesz pan dostać nadzwyczajnie wysoką cenę.

Malarz zrobił pogardliwy ruch ręką, jakby mówił:

— Nie gadaj mi pan o pieniądzach!

— A jeśli już pieniądz pana nie skusi — rzekł Milo, który doskonale zrozumiał ten pogardliwy gest — to pomyśl pan tylko o tem, jaka sława pana czeka. Prasa roztrąbi o panu po całym świecie!

Ostatni ten zwrot trafił widocznie do przekonania malarza; Simerenko zamyślił się. Bo też nie było człowieka, któryby tak przepadał i dążył do sławy, jako on.

Milo zauważył, że trafił w czułą strunę.

— Niech pan zrozumie, że recenzenci będą się dobijać, aby tylko módz pisać o panu.

Simerenko spojrzał zamyślony na obraz. Czy mu się drugi raz uda zrobić coś podobnego?

— Ach, z pewnością — odpowiedział sam sobie — modela przecież mam.

— Niech się pan zdecyduje — nalegał Milo. — Nie pożałujesz pan tego!

— No, to zabierz go pan z sobą do dyabła — wybuchnął malarz.

Twarz handlarza rozjaśniła się.

— Ile mam zażądać, gdy go kto będzie kupował?

— Dziesięć tysięcy marek! — odparł młody malarz, dla którego było rzeczą obojętną, czy się znajdzie kupiec na ten obraz, czy nie. Dotychczas nie zwrócono mu z wystawy ani jednego obrazu. Cena, jakiej teraz zażądał, wydawała się handlarzowi trochę za wysoką, ale nie zdradził się nawet z tą myślą, bo wiedział, że malarz odpowiedziałby lakonicznie, że obraz zostawia u siebie.

Simerenko oprawił je w ramki, a Milo zawołał przez okno swego woźnicę, aby obraz zniósł na dół, poczem, uścisnąwszy malarzowi rękę, wyszedł z atelier.

— — — — — — — — — — — —

Paweł Winkelman, ów młody inżynier, który od stryja nieszczęśliwej Małgorzaty Wilding otrzymał dla niej kolosalny spadek, postanowił wziąć do siebie jej synka, aby go wychować, ale miał z nim pojechać do Ameryki. Dzisiaj nie mógł się oprzeć myśli, aby pójść na cmentarz i odwiedzić grób zmarłej. Wziął kilkanaście białych róż i przyszedł na miejsce wiecznego zmarłych spoczynku.

Cmentarz, cisza, jaka wokół panowała, krzyże i grobowce nastrajały go coraz poważniej. Powoli szedł alejami tego miasta umarłych, aż doszedł poza cmentarną kaplicę. Opanowywał go smutek tem większy. im bardziej zbliżał się do grobowca Stürmerów. Stanąwszy przy nim, wyjął klucz, aby odemknąć żelazną bramę, wiodącą do grobowca. Jakież jednak było jego zdziwienie, kiedy zobaczył, że zamek został przemocą wydarty! Pełen głuchego przeczucia wszedł do wnętrza, musiał jednak zaraz zatkać nos chusteczką, bo powietrze w grobowcu było niemożliwe.

Powoli szedł do miejsca, na którem złożono trumnę ze zwłokami Wildingowej, ale widok, jaki uderzył go w oczy, tak go przeraził, że cofnął się odrazu osłupiały, nie mogąc opanować lęku. Po chwili dopiero odważył się pójść dalej. Tarł ręką czoło, bo zdawało mu się, że śni, jednak przekonał się, że to, co widział, nie było snem, ale rzeczywistością.

W trumnie nie było zwłok Wildingowej. Spostrzegł teraz również, że stojąca obok trumna także była otwarta. Zrozumiał w jednej chwili, że do grobowca wdarli się byli złodzieje.

Wzburzony do najwyższego stopnia pobiegł do grabarza i zaczął mu wymyślać od ostatnich słów, że nie pilnuje grobów. Grabarz wybałuszył oczy, udał się z nim razem do grobowca Stürmerów, ale to przecie nie mogło zmienić sytuacyi. Winkelman zwrócił się więc z powrotem do miasta, aby donieść policyi o tej ohydnej zbrodni.

Komisarz policyi wysłuchał go spokojnie i rzekł, że nie może mu udzielić żadnej rady, przyrzekł natomiast, że sprawę tę odda jednemu z najzdolniejszych ajentów, który bezwątpienia schwyci zbrodniarza.

Musiał się na razie zadowolnić tą odpowiedzią i wyszedł z gmachu policyi.

Z początku nie wiedział, co miał ze sobą począć; opanowała go jakaś dziwna apatya; chodził po ulicach, jak odurzony i nie mógł pojąć, że ludzie śmieją się i dowcipkują naokoło niego.

Jutro rano miał otrzymać odpowiedź z policyi. Jakżeż mu się dzień długim wydawał! A czekała go jeszcze dłuższa noc.

Przechodził koło salonu wystawowego znanego nam już handlarza obrazów Milo. Uderzył go odrazu ogromny afisz, przybity nad drzwiami, na którym było napisane olbrzymiemi literami: „Bogini śmierci! Dzieło artysty malarza Simerenki! Wystawione po raz pierwszy“!

Sam nie wiedział dlaczego, ale opanowała go niezmożona chęć zobaczenia tego obrazu. Wszedł więc do salonu, zapłacił wstęp i obojętnie przechodził koło całego szeregu obrazów. Pierwsza i druga sala była zapełniona wspaniałymi dziełami znanych i nieznanych już mistrzów dłuta i pędzla. Tłumy ludności jednak nie zatrzymywały się przy nich, ale płynęły ustawicznie do sali ostatniej, do której się i Winkelman z trudem nareszcie dostał.

A był tam cały elegancki świat, cała śmietanka towarzystwa ze stolicy. Były tam wspaniałe damy, wystrojone według najnowszej mody, panowie, na których twarzach czuć już było przesyt i znużenie, oficerowie, którzy co chwila wybuchali głośnym śmiechem, zadając ogółem szyku całemu towarzystwu.

Paweł Winkelman przeciskał się, jak mógł, ale obrazu Simerenki jeszcze nie widział; tak zbitą masą otoczyli go widzowie. Recenzenci na kolanach spisywali swoje wrażenia, jakie na nich obraz wywarł. A wrażenie to musiało być rzeczywiście niezwykłe, bo niektórzy z nich byli na seryo wzruszeni i gestykulując szybko rękami wprost przyznawali się do tego, że nie mogą znaleźć dość odpowiednich słów na opisanie tego niepospolitego dzieła sztuki w swoim rodzaju.

Winkelman wytężał wzrok, ale nic nie mógł dojrzeć. Widok obrazu zasłaniała mu jakaś dama w wielkim, szerokim kapeluszu z piórami.

Naraz dama ta odsunęła się i wzrok jego padł na obraz. Śmiertelny ból przeszedł mu po ciele, oczom własnym nie chciało mu się wierzyć. Przemocą więc przecisnął się przez zwarty tłum aż do obrazu, ale zaledwie nań spojrzał, krzyknął:

— Na Boga! To ona! To porwana z grobu Małgorzata Wilding!

ROZDZIAŁ XXVIII.

Dwa szatany.

Kiedy Ilona wypuściła z rąk trupa swego zamordowanego brata, ujrzała najniespodziewaniej i ku swemu największemu przerażeniu, że w drzwiach stał jej staugret, niedawno przez nią do służby przyjęty.

Stangret zamykał właśnie drzwi za sobą. W ręku miał lichtarz ze świecą.

— Przepraszam jaśnie panią, byłem pewny, że się tutaj włamali złodzieje.

— Nie, nie! — krzyknęła. — Idź precz! Nie potrzebuję cię!

Ale stangret pozostał. Podniósł świecę do góry, tak, że światło jej padło na twarz zmarłego. W pierwszej sekundzie cofnął się, ale zaraz na twarzy jego ukazał się szyderczy uśmiech.

— Ach — wyrzekł powoli. — Zdaje mi się, że go znam. Tak, tak, to klown z cyrku Renza!

Ilona zbladła, jak chusta.

— Nie masz tu nic do gadania! — wrzasnęła. — Zrozumiałeś, co rozkazałam? Precz stąd!

— Zrozumieć zrozumiałem — odparł szyderczo — ale każdy człowiek ma przecie swoją własną wolę.

— Masz mnie słuchać, bo ja tu jestem panią w zamku Schleinitz.

Spojrzał na nią z jakimś nieokreślonym uśmiechem, a ten śmiech przeraził ją do tego stopnia, że krew jej się w żyłach ścięła, kiedy usłyszała, jak po chwili ozwał się do niej:

— W mojej teraz mocy i odemnie tylko zależy, czy panią zamku Schleinitz wypędzę stąd, jak się wypędza psa, czy ją tu zostawię.

— Bezczelny! — krzykła Ilona i gniewna podniosła pięść.

Stangret jednak chwycił ją za rękę i ścisnął żelaznym uściskiem.

— Uspokój się, piękna pani, chyba, że chcesz, abym poszedł do detektywów i powiedział im, że kobieta, która uchodzi za hrabinę Pardua, jest niczem innem jeno zwyczajną baletnicą, a nazywa się Ilona Barrison.

Dreszcz ją przeszedł, jakby ją ktoś biczem uderzył.

— Nędzniku! — Ty wiesz — syknęła.

— Wszystko! — dodał, śmiejąc się bezczelnie — i radzę pani ze mną być na dobrej stopie.

Ilona widziała, że wszystko dla niej stracone, jeśli się nie podda jego woli.

— Ile chcesz za swoje milczenie?

— Pieniędzy nie chcę; ceną mojego milczenia jesteś pani sama — odparł powoli, patrząc jej pożądliwie w oczy.

— Oszalałeś! — zawołała wściekła, a krew buchnęła jej płomienną czerwienią na policzki. — Cóż ty sobie myślisz, padlecu! Wymień sumę, a zaraz ci ją wypłacę!

— Ależ ja nie chcę pieniędzy! — odrzekł powoli i z naciskiem — kocham panią, kochałem panią jeszcze wtedy, kiedy pani występowała w „moulin rouge“ w Paryżu. Ale cóż miałem zrobić wtedy, ja, biedny stangret? Nie mogłem nawet marzyć o tem, aby serce pani pozyskać. Teraz zaś — dodał szyderczo — okoliczności tak się złożyły, sytuacya tak jest dla mnie korzystna, że mogę panią zmusić do — — ale niech się pani szybko decyduje, bo detektywi mogą tu lada chwila zejść z góry, a brata pani łatwo się przecie bez przebrania rozpozna.

Teraz spostrzegła Ilona, jakie zrobiła głupstwo, ściągając bratu perukę i brodę.

— Niech się pani nie namyśla, piękna pani, bo mnie podstępem podejść trudno. Tam leży papier i pióro. Musi mi się pani piśmiennie zobowiązać, a ja za to zrobię pani jeszcze jedną przysługę, mianowicie usunę stąd trupa, bo taki zamiar pani miała, kiedy wszedłem do tego pokoju.

Ilona powiedziała sobie, że temu człowiekowi poddać się musi. Blada, jak ściana podeszła do biurka i zaczęła pisać, co jej stangret dyktował. Odetchnęła ciężko, kiedy nareszcie odłożyła pióro i piorunowem spojrzeniem wpatrzyła się w niego. Jakżeż go nienawidziła, jego, który ją zmusił do tego, aby została jego kochanką!

— Dzisiaj już pani przeszkadzać nie będę, łaskawa pani — rzekł z zimnem szyderstwem — niech pani uda się na górę, a ja się już załatwię z tym trupem.

— Nie, nie! — zawołała Ilona wzruszona, bo obawiała się, że stangret myśli ją znowu wziąć na kawał. — Czekaj mnie tu za półtorej godziny; zaniesiemy oboje trupa do ogrodu. A teraz wyjdź ze mną!

Zamknęła drzwi od pokoju na klucz i zaczęła pędzić po schodach, jakby ją furye ścigały.

Stangret zaś stanął na kurytarzu i wybuchnął szatańskim śmiechem.

— Teraz mam cię w swym ręku, piękna Ilono, teraz będziesz musiała tańczyć, jak ja ci zagram!

Po upływie półtorej godziny stał znowu przed drzwiami, wiodącemi do pokoju, w którym leżał zmarły klown. Po chwili zeszła po schodach Ilona w długim, ciemnym płaszczu; głowę owinęła również czarną chustką.

Nie odezwała się ani słówkiem; w milczeniu odemknęła drzwi, a stangret, wysoki, silny, barczysty mężczyzna, zabrał trupa na bary i wyszedł,

— Przyszła mi myśl — szepnęła doń Ilona — zaniesiemy trupa do tej starej pustelni w ogrodzie. To będzie najlepszem miejscem, gdzie zwłoki możemy bezpiecznie pochować.

Stangret nic nie odpowiedział, bo trup, jakiego miał na plecach, był dosyć ciężki. Skinął więc tylko głową.

Do ruin pustelni było kawał drogi. Szli przez park zamkowy, przystając co chwilę, bo nie mogli się zoryentować, którą ścieżką mogą najbliżej dojść do celu. Wreszcie zobaczyli zdala wieżę, stanowiącą główną część pustelni, a wreszcie stanęli u celu.

Ilona odetchnęła spokojniej, ale serce jej się ścisnęło, kiedy usłyszała nad głową trzepot skrzydeł i przeraźliwe krakanie wron. Nabrała jednak znowu odwagi i zapuściła się wraz ze stangretem w głąb ruin, gdzie złożyli zmarłego.

ROZDZIAŁ XXIX.

Detektywi udali się tymczasem razem z hrabią do jego gabinetu. Hrabia poprosił ich, aby usiedli, sam siadł naprzeciw nich i zapytał:

— Czego sobie panowie życzą odemnie? Ale proszę, streszczajcie się panowie, bo wypadki ostatnich kilku godzin tak mnie rozdenerwowały, że prawie nie jestem w stanie utrzymać się na nogach.

— Chodzi tylko o kilka pytań, na które zechce mi pan odpowiedzieć, panie hrabio. Kto jest ta dama, która w pańskim domu przebywa?

— Która? — zapytał hrabia opryskliwie.

— Mówię o tej pani z czerwonymi włosami.

— To wdowa po moim nieboszczyku bracie.

— Może mi pan to udowodnić papierami?

Hrabia Pardua zerwał się, na czole nabrzmiały mu żyły od gniewu, a głos drżał oburzeniem.

— Panie — krzyknął na Steina — pan mnie może za kłamcę uważa?

— Przepraszam pana — odparł detektyw — staję tutaj w imieniu prawa, a wie pan zapewne, że policyi wolno się pytać o wszystko, co jej się podoba!

Nerwowym ruchem pogładził hrabia swą bujną czupryne i rzekł:

— Pytaj pan dalej!

— Od jak dawna zna pan profesora, który dybał na życie pańskiej żony?

Widać było, że hrabia zmięszał się. ale zaraz odparł pewnym i spokojnym głosem, jak to u niego było w zwyczaju,

— Poznałem go stosunkowo dość niedawno w jednem z londyńskich muzeów. Zainteresował mnie ten stary uczony, dałem mu więc do zrozumienia, że byłoby mi bardzo przyjemnie, gdyby mnie kiedy zechciał odwiedzić.

— A jak pan sądzi, cóż za powody skłoniły go do czyhania na śmierć hrabiny?

— Muszę wyznać — odparł hrabia — że nie mogę wymienić ani jednego powodu. Przypuszczam, że staruszek zwaryował, a może też był już od dawna waryatem, czego tylko nie można było zauważyć.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Erna, w białych, nocnych szatach. Ujrzawszy swego męża, stanęła, jak oszołomiona, na progu.

Hrabia jednak umiał wyzyskać sytuacyę na swoją korzyść, podbiegł do małżonki i jakby w nagłem wzruszeniu przycisnął ją silnie do piersi, tak, że mu się bronić nie mogła.

— O mało co cię nie straciłem — szepnął do niej, ale tak głośno, że obydwaj detektywi to usłyszeli. — Gdybym był bodaj przeczuwał, jakie okropne plany miał stary profesor, byłbym go ubił, jak wściekłego psa, albo wypędził precz z zamku! Teraz jednak wszystko się obróciło na dobre, a mamy to wszystko do zawdzięczenia jedynie temu kochanemu komisarzowi Steinowi.

W tej chwili wypuścił z objęć Ernę i podał



Kiedy Ilona wypuściła z rąk trupa swego zamordowanego brata, ujrzała najniespodziewaniej i ku swemu największemu przerażeniu, że w drzwiach stał jej stangret, niedawno przez nią do służby przyjęty.

obie ręce detektywowi, który nań patrzał zupełnie zdumiony. Paulsen był przekonany, że hrabia z całą tą sprawą absolutnie niema nic wspólnego.

Stein podał mu rękę, bąknąwszy pod nosem kilka słów podzięki za słowa uznania, poczem rzekł jeszcze:

— Panie hrabio, ja bardzo przepraszam, ale chciałem się jeszcze o jedno zapytać. Nie zechciałby pan podejść ze mną ku oknu?

A kiedy hrabia usłuchał, rzekł szeptem:

— Może mi pan wytłómaczy, dlaczego pan wtedy, kiedy się pytałem o pańską małżonkę, powiedział mi, że ona już jest w domu, kiedy to przecie była pańska bratowa, którą mi pan podał za małżonkę.

Hrabia nie zakłopotał się tem bynajmniej, bo odparł zaraz:

— Rzecz bardzo prosta, proszę pana; nie chciałem, żeby wieść o zniknięciu Erny rozszerzyła się zanadto, bo ze wszystkich stron byliby mi spadli na kark najrozmaitsi spadkobiercy. Tego chciałem uniknąć, a zresztą w dniu tym otrzymałem list, podpisany przez moją żonę.

— Wiem o tym liście — przerwał mu detektyw.

— Ma pan jeszcze jakie pytania?

— Nie — odparł Stein.

— A więc do widzenia.

Pardua skłonił się, ale żona jego uścisnęła serdecznie ręce obydwu detektywów i prosiła ich, aby już przez resztę nocy pozostali w zamku. Obydwaj jednak podziękowali, nie mogła im więc zrobić nic więcej, jak tylko kazać im przygotować powóz, który ich miał odwieźć z zamku.

— Jutro przyjdą zapewne panowie z sądu — ozwał się hrabia do Erny — którzy zbadają zwłoki profesora, bo zaraz o tem zrobię doniesienie.

Z temi słowy wyszedł z pokoju.

— Ależ to lis, kuty na cztery nogi! — szepnął Stein do Paulsena, kiedy się znaleźli sami.

Paulsen spojrzał nań zdziwiony i potrząsł głową.

— Nie przypuszczasz chyba — rzekł — że hrabia Pardua wiedział o zbrodniczym zamiarze profesora?

— Wybacz, że ci na to nie odpowiem — prosił Stein. — Wiesz, że ja mam swoje własne plany i myśli.

Kiedy na drugi dzień przybyła do zamku komisya sądowo lekarska, przekonano się ze zdziwieniem, że trup starego profesora znikł w nocy wśród tajemniczych zupełnie okoliczności. Komisya odjechała więc z niczem.

ROZDZIAŁ XXX.

Bogini śmierci.

Publiczność, zgromadzona przed obrazem, zaczęła się ciekawie przyglądać Winkelmanowi. Kiedy jednak inżynier wypadł nagle z tłumu, zaczęto mówić powszechnie, że to był waryat, albo że na widok obrazu zwaryował. Tak nie było Winkelman nie zwaryował, ale był do szpiku kości wzruszony.

Wpadł do kantoru kupca i zapragnął widzieć się z samym właścicielem.

— Musi pan chwileczkę poczekać — rzekł mu jeden z urzędników biurowych — pana Milo w tej chwili niema, ale za sekundę tu już będzie. Proszę, może pan usiądzie.

I przysunął mu wygodny fotel. Ale Winkelman zbyt był zdenerwowany, nie usiadł więc, zaczął tylko szybko chodzić po kantorze.

Nareszcie zjawił się niski, trochę przysadkowaty pan ze złotym cwikierem na nosie.

— Nazwisko moje Milo — rzekł, kłaniając się.

— Chciałem kupić natychmiast obraz, zatytułowany „Bogini śmierci".

W oczach handlarza zabłysły ogniki.

— Możesz pan jeszcze mieć to arcydzieło, chociaż reflektuje na nie kilkunastu mecenasów sztuki.

— Jak cena?

— Pięćdziesiąt tysięcy marek — odparł Milo, nie rumieniąc się nawet.

— Jak na szkic, to honoraryum nie jest wcale za niskie, ale zapłacę tę sumę. Proszę, może pan każe natychmiast zdjąć obraz ze ściany. A tu proszę czek do mojego bankiera.

Milo chwycił czek skwapliwie, poczem rzekł:

— Obraz panu odeślę. Byłoby mi wprawdzie bardzo przyjemnie i byłbym panu mocno zobowiązany, gdyby pan był tak łaskaw i zostawił go jeszcze na kilka dni w moim salonie, ze względu na to, że...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Pamiątkowe zdjęcie fotograficzne zakładu T. Bahrynowicza we Lwowie.

Po sześciu latach: Ogólna grupa personalu teatru miejskiego we Lwowie, w chwili zamknięcia sześcioletniego okresu dyrekcyi Tadeusza Pawlikowskiego; artystki i artyści dramatu, opery i operetki wraz z członkami chórów i orkiestry, oraz personal pomocniczy techniczny, urzędnicy administracyjni i służba teatralna. Reprodukcya fotografii pamiątkowej ofiarowanej przez personal ustępującemu dyrektorowi na pożegnanie.



Do źródeł polskości: Włościaństwo ziemi przemyskiej na Wawelu: Licząca przeszło 650 osób wycieczka wieśniaków z okolic Przemyśla, przybyła do Krakowa, celem zwiedzenia pamiątek narodowych.

Fotografował na stokach Wawelu Edward Pierzchalski.

Po sześciu latach.

W dniu 30 czerwca br. skończył się sześcioletni okres rządów dyr. Tadeusza Pawlikowskiego w teatrze lwowskim. Był to okres bardzo nierówny. Z początku świetny, jakiego Lwów przedtem nigdy nie widział. Zespół artystów najwybitniejszych, najznakomitszych w Polsce, repertoar pierw-



Nowe magnificencye: Profesor architektury Edgar Kováts, wybrany rektorem politechniki we Lwowie.

szorzędny, wystawa każdej sztuki staranna, wspaniała. Toż samo w dziale opery. To też publiczność ceniła zasługi dyrektora Pawlikowskiego, oddawała im należne uznanie i chętnie uczęszczała do teatru. Z czasem jednak ta harmonia między publicznością a kierownictwem teatru poczęła się psuć. Kierunek repertoaru stał się jednostronnym, dekadenckim. Z pomiędzy artystów ubył cały szereg sił najlepszych; wystawa była niejednokrotnie nędzna. Publiczność wtedy zaczęła od teatru stronić.

Nie mniej jednak słuszność każe przyznać panu Pawlikowskiemu, że oddał na usługi sceny swe niepospolite zdolności, wielkie wykształcenie i wreszcie złożył na ofiarę sztuce polskiej swą krociową fortunę. Nie da się również zaprzeczyć, iż on to rozwinął estetyczne pojęcia wśród publiczności lwowskiej.

Zauważyć też należy, iż w stosunkach z artystami był szczodrym. Opiekował się wdowami i sierotami po członkach sceny, nie odmawiał nigdy pomocy tym, którzy z powodu choroby pracować na scenie nie mogli. A choć wrażenie tego popsuł swoim ostatnim „ukazem“ w sprawie prób z dyr. Hellerem, mimo to artyści rozstali się z nim bez urazy, pomni właśnie pewnych jego zasług. W dniu pożegnania ofiarowali oni p. Pawlikowskiemu piękną kasetę z fotografiami, z których najokazalszą, przedstawiającą ogólną grupę całego personalu teatralnego, reprodukujemy w dzisiejszym numerze.

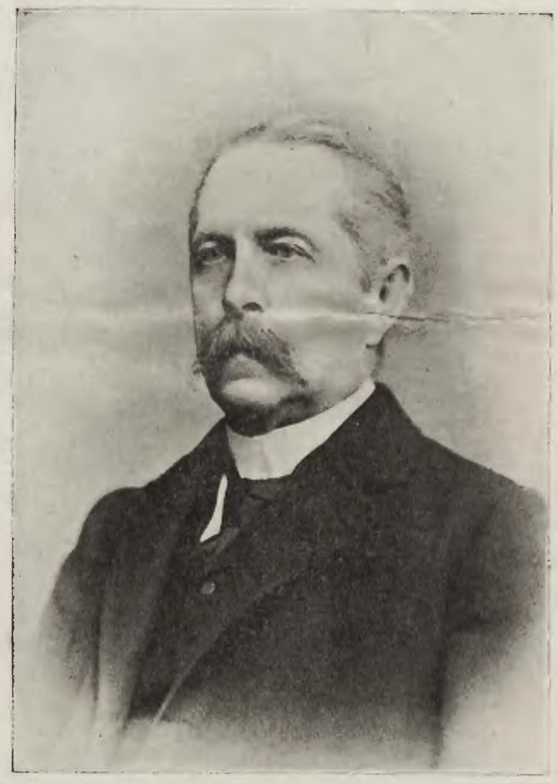


Nowe magnificencye: Profesor filologii, dr. Kazimierz Morawski, wybrany rektorem uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Nowe magnificencye.

W zeszłym tygodniu dokonały grona profesorskie uniwersytetu lwowskiego oraz politechniki lwowskiej, wyboru nowych rektorów na rok 1906/7.

Nowy rektor uniwersytetu, dr Szczęsny Gryziecki, urodził się we Lwowie w r. 1837, tam też ukończył szkoły średnie a następnie wydział prawniczy na uniwersytecie. Po ukończeniu studyów wstąpił do sądu, a przydzielony do prokuratoryi państwa, spełniał lat kilka (do 1870 r.) funkcye oskarżyciela w sądach lwowskim, złoczowskim i stanisławowskim. Równocześnie pisał pracę habilitacyjną i w r. 1869 został na jej podstawie mianowany docentem a następnie nadzwyczajnym profesorem prawa i procedury karnej; od r. 1891 jest zwyczajnym profesorem tych przedmiotów.



Nowe magnificencye: Profesor prawa karnego dr. Szczęsny Gryziecki, wybrany rektorem uniwersytetu we Lwowie.

Drugiem — prócz uniwersytetu — polem działalności prof. Gryzieckiego jest Rada miasta Lwowa, w której zasiada od r. 1883. Pracuje tam z wielką gorliwością, głównie w sekcyi finansowej, nadto jest prezesem komisyi prawniczej, członkiem Rady szkolnej okręgowej i komisyi artystycznej. W uznaniu zasług prof. Gryzieckiego około miasta, powołała go Rada miejska w r. 1887 na stanowisko I. wiceprezydenta miasta, które sprawował do r. 1889.

Dr Gryziecki należy do bardzo szanownych i kochanych przez uczniów profesorów, a to dla jego wielkiej przystępności i szczerości w postępowaniu z młodzieżą.

Rektorem politechniki został wybrany profesor



Fot. umyślnie dla „Nowości Illustrowanych“ Marek Münz we Lwowie.

Pamięci ukraińskiego poety: Uroczystość odsłonięcia pomnika na grobie Szaszkiewicza, poety ukraińsko-ruskiego. (Do art. na str. 18).

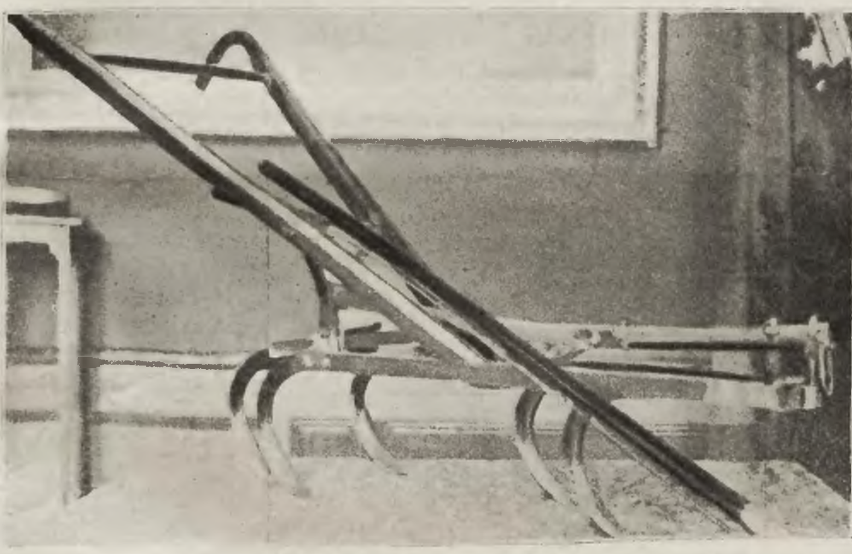
architektury Edgar Kovats. Urodzony w r. 1849 w Karaspezijowie nad Czeremoszem na Bukowinie, syn śp. Antoniego, żołnierza z r. 1831, ukończył szkoły średnie w Czerniowcach, poczem kształcił się kolejno na technice we Lwowie i Wiedniu, następnie w akademii sztuk pięknych we Wiedniu, ukończył zaś studya na politechnice w Zurychu, pod znakomitym profesorem architektury dr Lemperem. Z dyplomem inżyniera wstąpił do kierownictwa budowli dworskich we Wiedniu i w ciągu 17-letniego tam pobytu brał udział w pracach około budowy teatru dworskiego, obu muzeów, pałacu cesarskiego i zamku cesarzowej Elżbiety w Lainz. W r. 1895 mianowany został profesorem szkoły przemysłu drzewnego w Zakopanem, a w rok potem jej dyrektorem, od r. 1900 zaś wykłada na politechnice we Lwowie architekturę.

Prof. Edgar Kovats jest nie tylko znakomitym profesorem, ale i architektem, i jako taki zajmuje jedno z najwybitniejszych miejsc. Zdobył je sobie zarówno swemi niepospolitemi zdolnościami, jak i wykształceniem szerokiem i wielkiem doświadczeniem.

Jednocześnie ze Lwowem wybrał nowego rektora i uniwersytet Jagielloński w Krakowie. Został nim na rok następny znakomity uczony i profesor filologii na krakowskim uniwersytecie dr Kazimierz Morawski, którego fotografię zamieszczamy obok.

Nowy rektor, z urodzenia Poznaniak, przybył około roku 1870 do Galicyi. Już pierwsze jego dzieła, jak „Studya do historyi retoryki za czasów Augusta“ zwróciły nań uwagę świata naukowego, tak samo jak późniejsze „Andrzej Petrycy Nidecki, jego życie i dzieła“ i inne, które mu utorowały drogę do katedry profesorskiej. Z pośród dzieł jego wymienić jeszcze należy znakomite studyum pt.: „Cesarz Tyberyusz“, rozprawę „De retoribus latinis“, „Jakób Górski“, a przedewszystkiem wspaniałą historyę uniwersytetu Jagiellońskiego, za którą w roku 1901 otrzymał nagrodę z zapisu Probusa Barczewskiego.

Prof. Morawski jest jednym z tych profesorów naszej Almae matris, który dzięki swojemu wykształceniu, znajomości przedmiotów wykładanych, a co ważniejsza, dzięki znajomości dusz młodych słuchaczy, zyskał sobie ogólne uznanie, szacunek i miłość. Wybór jego na rektora przyjęła też młodzież uniwersytecka zwłaszcza z ogromnem zadowoleniem.



Z mieczów pług: Zrobiony z pałaszów oficerów amerykańskich, jako godło upragnionego pokoju wiecznego, pług nadesłany przez Stany Zjednoczone na konferencyę w sprawie rewizyi konwencyi genewskiej.



Z mieczów pług: Tak będzie wyglądał pałac pokoju w Hadze, gdzie odtąd mają się stale odbywać międzynarodowe konferencye pokojowe.

Z mieczów — pług.

Każdego z Czytelników uderzy z pewnością oryginalna illustracya, jaką zamieszczamy obok w dzisiejszym numerze. Przedstawia ona obrazek bądź co bądź ciekawy i niezwykły, mianowicie pług, zrobiony — z mieczów.

Pług ten, nazwany pługiem pokoju, nadesłały Stany Zjednoczone północnej Ameryki z okazyi setnej rocznicy swego istnienia, na konferencyę w sprawie rewizyi konwencyi genewskiej, która się niedawno odbyła w Genewie. Stał on w sali posiedzeń na podwyższonem miejscu, symbolizując niejako myśl przewodnią obrad delegatów, zgromadzonych tam ze wszystkich państw. Aby Czytelnicy łatwiej mogli zrozumieć, dlaczego pług ten na tę właśnie konferencyę nadesłano, powiemy naprzód słów parę o samej konwencyi genewskiej.

W roku 1862 ogłosił głośny filantrop genewski Dunant porywające pismo, w którem w słowach prostych, a przerażających swą grozą i dosadnie malujących rzeczywistość, przedstawił opłakany stan rannych żołnierzy, którzy brali udział w bitwie pod Solferino. Pismo to nie przebrzmiało bez echa. W dwa lata później, bo już 22 sierpnia 1864 roku zawarto w Genewie umowę, która miała na celu możliwe złagodzenie klęsk, z wojny wypływających. Umowę tę podpisały Belgia, Dania, Francya, Prusy, Szwajcarya i Wirtembergia. Zgodzono się w tej umowie uważać za neutralny podczas wojny personal szpitalny i wogóle służbę sanitarną, podczas spełniania przez nią obowiązków, a więc podczas zbierania i opatrywania rannych. Za zewnętrzny znak neutralności przyjęto na stacyach i budynkach opatrunkowych chorągiew widoczną i jednostajną, u osób zaś opaskę na ramieniu, opatrzoną krzyżem czerwonym na białem polu. Z biegiem lat przystąpiły do tej konwencyi wszystkie mocarstwa światowe z wyjątkiem Turcyi. W ubiegłym tygodniu odbyła się w Genewie konferencya w sprawie rewizyi tej umowy. I tam właśnie Ameryka przysłała pług, ukuty z mieczów amerykańskich oficerów.

Symbol to zaiste wspaniały, godny zaiste, aby go wyryć w marmurze i w każdej sali obrad dyplomatów umieścić. Kto zna choćby z czytania okropności współczesnej wojny, w której człowiek walczy z niewidzialną prawie przemocą, bo wroga zazwyczaj nawet nie widzi, a pada ciężko nieraz raniony lub trupem odrazu od kuli, rozszarpany szrapnelem lub granatem, kto może sobie wyobrazić całe to piekło okropności, ten chyba w duszy zapytać się musi sam siebie: czyż to nie hańba dla ludzkości, czyż to nie hańba dla dzisiejszej kultury! Czyż nigdy ludzie nie przestaną być zwierzętami, które tylko myślą o zabijaniu drugich?

Da Bóg, może nie my, ale dzieci i wnuki nasze doczekają chyba tej świętej w dziejach ludzkości chwili, kiedy ludzkość cała dojdzie do tego poczucia, że nie jest przecie niczem innem, jeno wielką, ale jedną i tą samą rodziną, że wszyscy ludzie są sobie braćmi! Nadejdzie chwila, kiedy ustaną nienawiści narodów i spełni się marzenie poety, że „stal mieczów pługiem orać będzie skiby“!

Najtęższe umysły, najszlachetniejsze serca żyją tą nadzieją i zasadę tę głoszą jako nową ewangelię zgangrenowanej ludzkości. Prąd wyzwolenia człowieka z niewoli szowinizmu zatacza coraz szersze kręgi. Odbywają się już nawet konferencye, z przedstawicieli wszystkich państw złożone, które mają za cel usunięcie tej straszliwej kaźni, jaka dzisiaj jeszcze czerni się nad ludzkością, nad usunięciem groźnego widma wojny, nad zniesieniem wojen i wojska. Każdy prawdziwy człowiek, mający duszę i świadomość, wie, ile pieniędzy pożera nie już wojna, ale te straszne przygotowania do wojny, utrzymanie stałej i jak największej siły zbrojnej. I każdy chyba piastuje w duszy myśl, że przecież zawsze tak nie będzie, że muszą się zmienić stosunki, że przecież wnuki nasze nie będą musiały pracować ciągle na karabiny i armaty!

Pierwsza taka konferencya pokojowa odbyła się we wspaniałym letnim pałacu królewskim w Hadze. Przeszła na razie — bez rezultatu. Ale myśl przewodnia tej konferencyi nie wygasła. Jeden z milionerów amerykańskich ofiarował przed dwoma laty dwa miliony dolarów, aby w Hadze zbudować specyalny pałac, w którymby się zawsze odbywały konferencye pokojowe, aż do skutku — do chwili, kiedy delegaci mocarstw, w tym „pałacu pokoju“ zebrani, podpiszą umowę, że wreszcie zatargi między państwami sądzić będzie sąd złożony z prawników, że znosi się wojsko. Rozpisano konkurs na projekt tej budowli, mającej być dla ludzkości niejako gwiazdą przewodnią i jutrzenką przyszłości. W konkursie wzięło udział kilkuset architektów, między nimi i kilku Polaków. Pierwszą nagrodę uzyskał Francuz, p. M. Cordoumier z Lille, za projekt, jaki podajemy na załączonej obok illustracyi. Projekt, jak widać wspaniały i godny idei.



Parlament kobiecy: Posiedzenie międzynarodowego kongresu kobiecego w Paryżu pod prezydencyą lady Aberdeen.

A kiedy nadejdzie czas, że spełni się marzenie szlachetnych dusz, że znikną wojny i obawa wojny, na gmachu „pałacu pokoju“ ustawią pewnie najpiękniejsze godło kultarnej i etycznej ludzkości — może ów pług z mieczów wykuty, tensam, jaki teraz Ameryka przysłała na konferencyę genewską...



Fot. umyślnie dla „Nowości Illustrowanych“ Marek Münz we Lwowie.
Pogrzeb dra Byka: Przed zborem izraelickim we Lwowie podczas przemowy żałobnej wiceprezesa dra Schaffa na pogrzebie bł. p. posła dra Emila Byka.

Parlament kobiecy.

Świeżo odbył się w Paryżu międzynarodowy kongres kobiecy.

Minęły nareszcie czasy, kiedy illustracye jakiegoś zjazdu feministycznego byłyby znalazły miejsce w pismach humorystyczno-satyrycznych. Dojrzał świat dzisiaj o tyle, że kongresy kobiece traktować potrafi poważnie i nie zważa na garstki zacofańców, którzy postępy racyonalnego feminizmu zwykli jeszcze po dawnemu obrzucać głupiemi żartami, lub przynajmniej spoglądać na nie z uśmiechem ironicznym.

Dziś wszyscy z uznaniem dowiadują się o tem, że ruch kobiecy zatacza wszędzie coraz szersze kręgi i z przyjemnością śledzą postępy działalności jego przewodniczek.

Właśnie przewodniczki feminizmu zebrały się niedawno w salonach „Koła pracy kobiet“ w Paryżu na konferencyę (na str. 15 fotogr. z tego zebrania). Był to międzynarodowy kongres, którego celem jest od r. 1888 jednoczyć przedstawicielki wszystkich kobiet świata, dla narad w sprawie ich losu pod względem wychowawczym, moralnym, społecznym, filantropijnym, ekonomicznym i politycznym. Kongres obradował pod wodzą lady Aberdeen, żony wicekróla Irlandii, a wzięły w nim udział najwybitniejsze przewodniczki ruchu feministycznego na obu półkulach.

Pogrzeb dra Byka.

W Wiedniu na eksportacyę zwłok posła Byka do rodzinnego kraju przybyli między innymi ministrowie: dr Klein, dr Korytowski, hr. Dzieduszycki i Pacak, prezydent Izby Vetter, prezes Koła polskiego D. Abrahamowicz z członkami Koła. p. Barwiński i w. i. Minister Pacak złożył rodzinie kondolencyę imieniem rządu.

W pogrzebie we Lwowie w pochodzie z dworca kolejowego na cmentarz żydowski wzięły udział tłumy nieprzejrzane. Przed gmachem Zboru izraelickiego imieniem Rady miejskiej przemawiał wiceprezydent miasta dr Tadeusz Rutowski, reprezentant Koła polskiego dr Dulęba oraz wiceprezes Zboru dr Schaff (podczas jego przemówienia właśnie zrobiono zdjęcie fotograficzne dla „Nowości“). Na cmentarzu przemówili po odprawieniu modłów religijnych przez wszystkich trzech rabinów i kantora, imieniem Zboru izraelickiego, adw. dr Czeszer, imieniem lewicy sejmowej adw. dr Loewenstein, imieniem Izby adwokackiej adw. dr Max, im. stow. rygorozantów p. Russman, itd.

Opera lwowska w Krakowie.

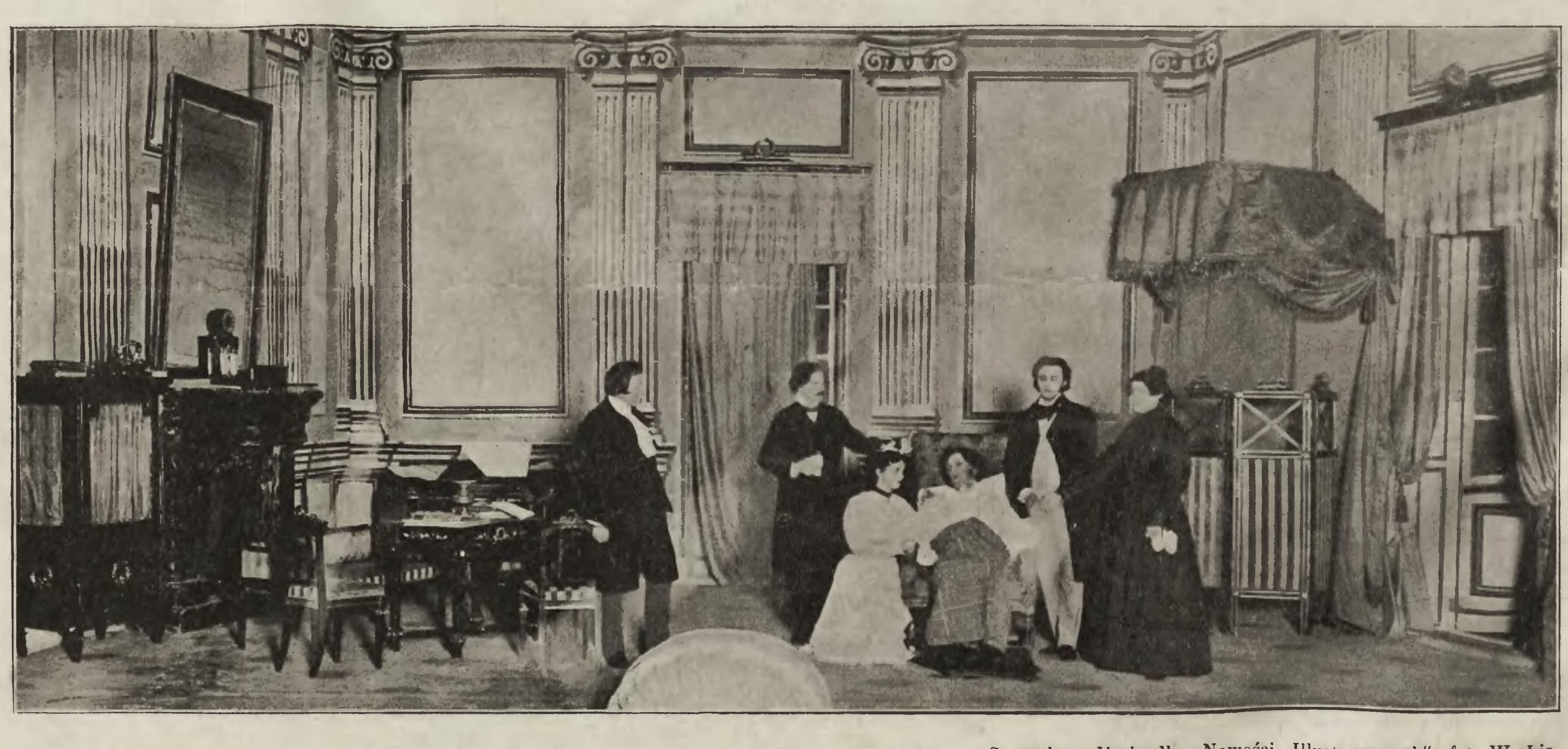
Muzykę w Krakowie ograniczoną z konieczności do popisów estradowych solistów wszelkiej kategoryi i bardzo rzadkich sposobności usłyszenia dobrej muzyki orkiestralnej — wspiera stale od szeregu lat Lwów, przysyłając jej rokrocznie w sezonie letnim operę, bez której niepodobna wyobrazić sobie prawidłowo rozwijającego się ruchu muzycznego i jakiej takiej wogóle kultury muzycznej. I tego roku przybył do Krakowa dyr. Ludwik Heller ze swoją wysoce sympatyczną drużyną śpiewaczą, w gronie której witamy i naszych dobrych, starych, a zaszczytnie znajomych artystów, tudzież kilka młodych obiecujących talentów śpiewaczych w osobach pań: Gembarzewskiej, Hendrichówny, Markównej, Mokrzyckiej (znanych w Krakowie li tylko z estrady koncertowej), tudzież p. Colignon-Szymańskiej, a nadto panów: Muszyńskiego (tenor bohaterski), Sulikowskiego (tenor liryczny), Szapiry i Zaremby (barytoni).

„Sezon krakowski“ rozpoczęto złożeniem hołdu należnego muzie ojczystej: dano nam tedy melodye ukochanej opery narodowej — wiecznie świeże dzieło nieśmiertelnego Moniuszki: „Halkę“. Następnego wieczoru uczczono nas dźwiękami drugiego barda narodowego, wielkiego Chopina, z którego niedoścignionych dzieł fortepianowych — ujętych w mistrzowską oprawę barwnej i z wielką maestryą dokonanej instrumentacyi — utworzył sympatyzujący z nami kompozytor włoski Orefice, prześliczne dzieło, operę „Chopin“, — biorąc za treść fragmenty z życia tego wielkiego artysty. — Dzieło wystawiono z pietyzmem godnym stołecznej sceny pod dyrekcyą p. Rukawiny, zyskując ogólne uznanie audytoryum. Właśnie końcowy obraz sztuki, przedstawiający chwilę śmierci Chopina, zdjęliśmy umyślnie dla „Nowości“ i podajemy w reprodukcyi w dzisiejszym numerze.

Pracę artystyczną w Krakowie podjęli zarówno artyści, jak niemniej chóry i orkiestra bez chwili odpoczynku po pracy w teatrze lwowskim i po męczącej podróży, mimo to jednak oba te przedstawienia świetnie inaugurując sezon, dały prawdziwie artystyczne zadowolenie spragnionym dobrej muzyki rzeszom melomanów krakowskich i zadatek na doskonale zapowiadającą się „Staggione“.

Dyrektora Hellera, który niejednokrotnie dawał dowody zarówno swej energii, jak i sumienności, tudzież gorliwości w rzeczach sztuki — witamy z radością w grodzie Krakusa, nie wątpiąc ani na chwilę, że kulturna publiczność krakowska poprze chętnie usiłowania kierownika jedynej u nas opery.

— zrs —



Specyalne zdjęcie dla „Nowości Illustrowanych“; fot. W. Lis.
Opera lwowska w Krakowie: Po raz pierwszy w teatrze krakowskim wystawiona głośna opera „Chopin“; obraz z ostatniego aktu, chwila, kiedy Chopin umierając, woła do swych przyjaciół: „Kochani, podajcie mi dłonie“.



Fot. na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej E. Pierzchalski.

Jubileusz Reja: Grupa najwybitniejszych uczonych polskich, uczestników świeżo w Krakowie odbytego Zjazdu Rejowskiego, pod prezydencyą Tad. Korzona, Józefa Kallenbacha, St. Ptaszyckiego i Wikt. Czermaka; pośrodku grupy St. hr. Tarnowski, prezes Akademii Umiejętności, inicyatorki 400-letniego jubileuszu narodzin Mikołaja Reja, oraz jako goście, dwaj bracia Mikołaj i Mieczysław hr. Rejowie.

Jubileusz Reja.

W roku ubiegłym minęło czterysta lat od chwili, kiedy w Nagłowicach ujrzał światło dzienne człowiek, który pismami swemi położył kamień węgielny pod wspaniały gmach naszej literatury narodowej, stał się po prostu jej ojcem i twórcą, Mikołaj Rej. Ten czterowiekowy jubileusz narodzin Reja, będący zarazem jubileuszem naszego czterowiekowego piśmiennictwa, postanowiła Akademia Umiejętności w Krakowie, jako najwyższa nasza instytucya naukowa, nauki polskiej najwyższa opiekunka, uczcić uroczystym obchodem, pamięci Reja poświęconym. Obchód ten, projektowany na czerwiec ubiegłego roku, odłożono z powodu nieszczęśliwych warunków, w jakich się wówczas naród polski znajdował, zwłaszcza w Królestwie Polskiem. W roku bieżącym, aczkolwiek warunki te nie wiele się polepszyły, postanowiono uroczysty jubileusz Reja obchodzić w Krakowie w dniach 1, 2 i 3 lipca. Na uroczystość tę, będącą świętem polskiej literatury, zjechali do Krakowa najwybitniejsi polscy uczeni, badacze, których fotografię zamieszczamy w dzisiejszym numerze na stronie 17. Widzimy między innymi na fotografii zarząd zjazdu, w skład którego wchodzą pp.: Tadeusz Korzon z Warszawy, prezes, prof. dr Józef Kallenbach pierwszy, a prof. Stanisław Ptaszycki z Petersburga, drugi wiceprezes, prof. dr Wiktor Czermak, jeneralny sekretarz i pp.: Bronisław Gubrynowicz i Witołd Nowodworski, sekretarze.

Kim był Rej dla literatury polskiej, o tem już niejednokrotnie szeroko i długo pisano. Wystarczy wspomnieć, że Rej był pierwszym, który zaczął pisać po polsku. Nie był to talent pierwszorzędny, ani artysta, sięgający w natchnieniu szczytów myśli, nie, Rej był sobie szlachcicem, który wzorów obcych prawie że nie znał, bo w młodości wolał chadzać po lesie, aniżeli oczy psuć nad książką. Ale to właśnie było podstawą jego nieśmiertelności. Nie oglądał się na nikogo, nie naśladował nikogo, pisał tak, jak mówił, i ukazał w swych dziełach taką obfitość słów, takie bogactwo języka ludowego, o jakiem nie mielibyśmy nawet pojęcia. Ponadto, kierując się swoim prostym, szlacheckim rozumem, zdołał cały swój wiek w tak wiernych i prawdziwych odmalować barwach, że cała jego epoka staje nam teraz, przy czytaniu dzieł jego, jakby żywa przed oczyma. Nie polot myśli, nie kunsztowna forma, której nie znał, zrobiły Reja nieśmiertelnym. Działalność jego pisarska ma znaczenie więcej realne, nosi na sobie piętno owego kamienia węgielnego naszej literatury, która wkrótce po nim wydała już takiego geniusza, jak Jan Kochanowski.



Sprawca zamachu na Konstantynowa: Borys Szulman, który rzuceniem bomby na rogu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej w Warszawie, zabił komisarza policyi Konstantynowa, poczem zginął od kul karabinowych.



Sprawca zamachu na Konstantynowa: Na cmentarzu żydowskim w Warszawie, grób Borysa Szulmana, wykonawcy wyroku śmierci P. P. S. na Konstantynowa; wkrótce po potajemnym pogrzebie, ekshumacya zwłok Szulmana przez 10 tysięcy robotników, celem oddania zmarłemu honorów pośmiertnych przez tow. partyjnych. (Zdjęcie umyślne wyłącznie dla „Nowości Illustrowanych przez fot. amat Quidam).

Pamięci ukraińskiego poety.

Dnia 29 czerwca b. r. obchodziła Ruś-Ukraina wielkie święto; w dniu tym na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie w sposób uroczysty odsłonięto pomnik na mogile zasłużonego poety ruskiego, Markjana Szaszkiewicza. Tłumy ludności ze Lwowa i okolicy, przy współudziale delegatów rusko-ukraińskich Towarzystw całego kraju, a nawet zakordonowej Ukrainy, ze skupieniem ducha oddały hołd pamięci poety.

Markjan Szaszkiewicz. urodzony w r. 1811 we wiosce Pidłysie, złoczowskiego powiatu, ukończył gimnazyum w Brzeżanach, poczem był we Lwowie słuchaczem teologii, którą ukończył prywatnie, ponieważ ze seminaryum duchownego go wydalono; następnie po nędznej tułaczce w charakterze korepetytora zmarł na suchoty w 1843 r.

Czasy, na które przypada działalność Szaszkiewicza, były dla halickiej Rusi bardzo smutne. Rusińska tradycya i ludowy język żyły tylko pod strzechą chłopa. Dla ludu nie pracował nikt, nikt nie przemawiał doń jego językiem.

Markjan Szaszkiewicz pierwszy zrozumiał, że tak dalej być nie może i przyszedł do tego przekonania, że odrodzenie narodu rusińskiego w Galicyi może nastąpić tylko na podstawie ludowej. On pierwszy zwracał się do bogatego źródła prześlicznej rusińskiej ludowej poezyi, on pierwszy pokochał lud ruski i jego język.

Zasługi Szaszkiewicza tedy są bardzo wielkie, tem większe, że on nawiązał stosunki z Ukrainą, i pierwszy pojęcie Rusi-Ukrainy postawił jasno.

Nie dziw tedy, że cała Ruś-Ukraina, oddała hołd pamięci tego, który pierwszy z halickich Rusinów umiał z ówczesnej apatyi, pomieszania pojęć i pogardy dla ludu wydobyć perły postępu i miłości.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne, przedstawiające chwilę uroczystości podczas odsłonięcia i poświęcenia pomnika Markjana Szaszkiewicza.

Osobistość sprawcy zamachu na kapitana Konstantynowa.

Dopiero dziś, kiedy śledztwo w sprawie zamachu na kapitana Konstantinowa zostało ukończone, osoby zaś bliskie początkowo tylko domniemanemu sprawcy zamachu aresztowane, a teraz wypuszczone na wolność — jesteśmy w możności podzielić się z Czytelnikami naszymi wiązanką szczegółów, dotyczących osobistości sprawcy zamachu oraz okoliczności, towarzyszących jego wykonaniu.

Borys Szulman był jednym z wybitniejszych działaczów partyi, która wydała wyrok śmierci na kap. Konstantinowa. Do wykonania tego wyroku Sz. palił się od dawna — według jednak regulaminu partyi, bez pozwolenia partyi nie mógł przystępować do dzieła, partya zaś — bez losowania nie mogła wyznaczać Sz. do wykonania tego wyroku.

Licząc, że szczęście sprzyjać mu będzie — Sz. cierpliwie oczekiwał losowania. Los jednak padł zupełnie na kogo innego, na chrześcianina. Wówczas zrozpaczony Sz. zwrócił się do komitetu partyi z oświadczeniem, że jeśli chce go ochronić od samobójstwa i pozwolić umrzeć śmiercią bohaterską — niech wyjedna zmianę wyniku głosowania. Istotnie komitet przychylił się do próśb i gróźb Sz., wyjednał zrzeczenie się mandatu przez owego wybrańca losu i powierzył wykonanie wyroku śmierci na osobie kap. Konstantinowa — Szulmanowi.

I Szulman wyrok wykonał, a ulegając instynktowi samozachowawczemu, zbiegł pomyślnie. Gdy jednak znalazł się w miejscu bezpiecznem, przyszły refleksye i Sz. powrócił na miejsce, gdzie zapewne przez swoją pelerynę, poznany przez żołnierzy został zabity. Zwłoki przewieziono do prosektoryum. Nazajutrz, gdy przed szpitalem zebrał się tłum, oznajmiono mu, że odbędzie się tylko pogrzeb zabitego jednocześnie Abta. Gdy jednak orszak ze zwłokami Abta przybył na cmentarz, dowiedziano się, że już przedtem na wozie rzeźnickim (zamknięta buda) zwłoki Szulmana przywieźli tam agenci policyi tajnej, przebrani za czeladników rzeźnickich i kazali natychmiast bez wiedzy rodziny pogrzebać w rogożce, w jakiej go przywieźli. Wieść o tem obiegła sąsiednie fabryki i wkrótce na cmentarzu zebrało się z górą 10 tysięcy robotników, którzy postanowili pochować go z honorami. W tym celu wydobyto z ziemi ciało, z czego skorzystał korespondent „Nowości“ i odfotografował zwłoki Szulmana, jak widać obok. Po ceremoniach rytualnych, robotnicy przy śpiewie pieśni rewolucyjnych oddali ziemi zwłoki towarzysza, składając wiele wieńców i kwiatów z napisami.

Nowy reżyser lwowskiej operetki.

Opera i operetka, podobnie jak dramat i komedya wymagają pracy i czuwania jednego człowieka, któryby usiłowania osób tworzących zespół, umiał zwrócić w jednym kierunku i stworzyć z różnorodnych temperamentów, aspiracyj, zdolności, tudzież temi środkami opracowanych ról lub partyj, jedną organiczną całość i nadać jej pewien artystyczny kierunek. Człowiek taki spełnia tu rolę maszynisty składającego i puszczającego w ruch maszynę — podobnie jak zręczny zegarmistrz z kółek, sprężynek i czopków, zestawia zegar idący równo i składnie. Zegarmistrzem takim w sztuce dramatycznej jest reżyser. On zestawia w jedną całość role, on stwarza i układa sceny zbiorowe, on właściwie wraz z autorem robi sztukę na nowo. A ile razy ją przetwarza. Biada zegarmistrzowi, jeśli której z cząstek przyszłego zegara nie obrócił należycie... Biada reżyserowi, jeśli przeoczy jaki poważniejszy szczegół lub nie popracuje z tym lub owym artystą lub jeśli nie potrafi wyzyskać tego czy owego efektu...

Bywalcy teatralni i ludzie zajmujący się bliżej sprawami i arkanami sztuki, wiedzą doskonale, czem jest dobry reżyser.

To też każdy z dyrektorów, zanim komu powierzy to trudne zadanie, bada dobrze i zdolności osobiste danego artysty i drogę, po której kroczył jego talent a nierzadko charakter przyszłego kierownika.

Trzeba przyznać p. Hellerowi, że ma zarówno trafny sąd o ludziach, jak i szczęśliwą rękę w wyborze swych reżyserów — a niepodobna nieprzyznać, iż stawiając na czele kadrów operetki lwowskiej p. Boguckiego, artystę operowego, zrobił nietylko wybór jaknajtrafniejszy, lecz zarazem dał poznać, iż na poważnym kierunku tego działu teatralnego wiele mu zależy.

P. Stanisław Bogucki, artysta sympatycznie znany i przez polską publiczność wysoko ceniony, jest uczniem Władysława Millera (ojca), a następnie Wiktora Maurell'a. Karyerę rozpoczął w Królestwie, skąd po kilkumiesięcznej praktyce scenicznej przybył do Lwowa, jeszcze za czasów dyrekcyi Schmidta i Szydłowskiego.

Ogromnie sympatyczne *exterieur* artysty i wrodzona żywość, zyskały mu odrazu lwowską publiczność. Nie szczędzono mu ani oklasków, ani zachęty do artystycznej pracy. Olbrzymia muzykalność i piękny głos barytonowy, stawiają Boguckiego odrazu w rzędzie najniezbędniejszych. Bogucki śpiewa z równą łatwością partye operowe, jak i operetkowe, zbierając w tych drugich zwłaszcza, za swój zdrowy i cięty dowcip, huragany oklasków.

Bogucki pracuje na scenie Skarbkowskiej aż do jej zamknięcia. Nowy dyrektor nowego teatru lwowskiego nie potrafił ocenić należycie zdolności wybornego w swym zakresie artysty, a ten w pogoni za chlebem, tudzież odpowiednim terenem dla swego talentu, podążył do Warszawy. Cały szesnastoletni okres przepracował Bogucki w teatrach warszawskich, zbierając zarówno uznanie publiczności, tudzież prasy, jak niemniej i nieco mamony. W wolnych chwilach od pracy scenicznej śpiewa na estradach koncertowych i zjednywa sobie markę niepowszedniego pieśniarza.



Nowy reżyser lwowskiej operetki: Znany śpiewak operowy, dotychczas artysta teatrów rządowych w Warszawie, Stanisław Bogucki, którego dyrektor Heller powołał na reżysera operetki.

Stosunki, jakie panują między władzami teatrów warszawskich, a artystami i wieść o objęciu przez dyr. Hellera teatru lwowskiego, sprowadzają Boguckiego do Galicyi. Od kilku dni mamy go wśród nas w Krakowie na stanowisku reżysera operetki.

Czeka go praca nie lada. Z początku wielkiego wpływu reżyser mieć nie będzie i nie może — musiałby bowiem wypowiedzieć walkę na śmierć i życie przyzwyczajeniom artystów, którzy sobie role urobili już według kątomierza — rozpocząć targi z kapelmistrzami o tempa już wypróbowane i aprobowane — zmienić sytuacyę, nieraz może i charakter całych scen i aktów, a to w warunkach obecnych — jak na początek niemożliwe.

To jednak pewne, że nowy reżyser z ochotą zakasze rękawy i stanie do pracy z całym swym zasobem energii, woli, zapału i doświadczenia, aby w najbliższych już produkcyach dać próbkę tego, co chce i może, jak niemniej tego, co się da wykrzesać z tak wybornego materyału, jaki mu do pracy powierzył z zaufaniem dyrektor.

Wiemy z pewnego źródła — bo dzielny artysta przyznał się nam otwarcie — iż zamierza operetkę, sztukę niesłusznie „podkasaną muzą“ nazwaną, dźwignąć na wyżynę prawdziwej sztuki i darzyć słuchaczy nietylko szczerym, tudzież przyzwoitym humorem, lecz także i szlachetniejszemi aspiracyami.

Sympatycznemu artyście życzymy w tej, pełnej najlepszych chęci, pracy, rzetelnego powodzenia.

urs.

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

13 (Ciąg dalszy).

— Trzeba wyjeżdżać jak najspieszniej — pomyślała sobie i za kwadrans siedziała już na furmance najętej w pobliskiej wiosce.

Tak zajeżdżać do dworu nie chciała, ona, która niby własnym wyjeżdżała stamtąd niedawno powozem, w czwórkę dworskich koni pana Edwarda zaprzężonych.

Droga po wybojach wielkich skutkiem parodniowej ulewy powstałych, trwała długo i niecierpliwiła Felicyę niewymownie.

Wieczorem dojechała do wsi sąsiadującej z majątkiem pana Edwarda.

Tu wysiadła przedewszystkiem dla zasięgnięcia języka.

Łatwo przyszło jej dowiedzieć się, co też teraz dziać się we dworze, o wszystkiem bowiem wiedziano dokładnie od czasu ciężkiej choroby Czesia, gdyż zaopatrywano się tam w różne rzeczy potrzebne dla chorego.

Przed paru godzinami był tam ktoś właśnie z czeladzi dworskiej i opowiadał, że dziecko już kona, opuszczone przez lekarza.

Wodą na młyn tercyarki była wiadomość o ciężkiej chorobie dziecka pana Edwarda, któremu będzie ona mogła wytłómaczyć, iż Bóg karze go w ten sposób, że się odwrócił od siostry Felicyi, a wbrew jej radom, przyjął pod dach swój z powrotem żonę i do dzieci ją dopuścił.

Aż ręce zacierała siostra Felicya z radości na tę smutną wiadomość.

— Bardzo mi to na rękę...

Następnie furmanka zawiozła ją jeszcze dalej, ale gdy znalazła się w alei wiodącej wprost do wrót dziedzińca dworskiego, kazała siostra Felicya zatrzymać konie ku zdziwieniu chłopa i wysiadła, nie zważając nawet na błoto i ciemny wieczór.

Zapłaciwszy, co się należało, poleciła furmanowi powracać do domu i dodała mu coś jeszcze za to, by nikomu nie rozgadywał, iż wiózł ją do dworu.

Wprawdzie jednem tylko okiem dobrze widziała tercyarka, jednakowoż wzrok musiała mieć nie zły, skoro po ciemku zdołała wyszukać sobie bokiem drogi suchą ścieżynę krętą pod lipami staremi, tak, że do samego dworu doszła, nie zabłociwszy się wcale.

Czeladź spała już po większej części w całym dworze i w oknach bocznych zabudowań gospodarskich ciemno było o tej porze. Szło tylko o to, by psy nie narobiły zbyt wielkiego hałasu z chwilą, gdy poczują, że przez dziedziniec skrada się ktoś cichaczem. Lecz i na to radę znalazła Felicya.

Postanowiła sporo drogi nałożyć, byle nie zajść do domu od frontu. Obeszła tedy wokoło stodoły i stajnie ścieżką kamienistą po wale, ciągnącym się nad rowem, który zamykał czworobok dworskiego obejścia — i przez lukę w żywopłocie za lodownią wcisnęła się do parku.

Do tej chwili nikt jej jeszcze nie zauważył, skoro zaś znalazła się już w obrębie ogrodu, była spokojną i o to, że potrafi niepostrzeżenie wejść do domu od tyłu przez taras.

Zdala zrobiła przegląd, w których oknach było światło.

Wtem usłyszała czyjąś rozmowę.

Zatrzęsła się ze złości i strachu, poczem cofnęła się śpiesznie i zaszyła w krzaki.

Nadsłuchując uważnie ze swego ukrycia, zoryentowała się rychło, co to być mogło. Otóż to Baran, jeden z dwóch zmieniających się co dobę stróżów nocnych, obchodził właśnie dom dokoła z psami, gdy ona wyobrażała sobie, że psy drzemią w tej chwili w dziedzińcu. Baran też sam rozmawiał z psami głośno, a więcej nikogo nie było w ogrodzie.

— Gdyby to Ciszewski stróżował tej nocy — pomyślała sobie siostra Felicya niezadowolona, że kolej padła dziś na Barana, który jej nie cierpiał i z którym nie mogła się w żaden sposób zgodzić.

— Pod żadnym warunkiem nie mogę tutaj teraz natknąć się na tego zbója — szepnęła, palce zaciskając i rozmyślając nad tem, co począć.

Nagle jeden z psów zaszczekał.

Zrozumiała Felicya, że jeszcze chwila, a psy odkryją w krzakach jej ukrycie i wrzawą napełnią park.

Pośpiesznie zatem wymknęła się z gęstwiny żywopłotu i skradając się cicho, zrobiła kilka kroków w stronę małego budyneczku, stojącego nieopodal.

Była to nieduża komóreczka z niskiemi drzwiami i małem kwadratowem okienkiem z tyłu. Składała się z dwóch ciasnych ubikacyj. Sionka była zapełniona narzędziami ogrodniczemi, za nią zaś znajdowała się nie o wiele od niej większa izdebka, prawie niemożliwa na mieszkanie ludzkie, gdyż zmieścić w sobie mogła zaledwie łóżko.

Istotnie wewnątrz niej więcej sprzętów nie stało, ściany tylko obwieszone były gęsto kawałkami garderoby męskiej.

Łóżko w tej komórce stanowiło mieszkanie Wosinka, ogrodnika ośmnastoletniego, który tu stróżować musiał, zwłaszcza nocą, w tej części ogrodu, obok oddziału inspektowego.

Z Wosinkiem była siostra Felicya w wielkiej zgodzie. Za jej rządów we dworze chłopak dostawał jedzenia więcej, niźli mu było istotnie potrzeba i nieraz nawet dzielił się z Kaśką od krów po cichu.

Bywało, że do komórki jego po wieczerzy zachodziła Felicya sama, przynosząc mu jeszcze jakieś smakołyki.

To znów ile razy miał jaki interes do niej i on przyszedł do pokoju tercyarki, dostawał na pewne spory kielich wybornej wiśniówki, domowej roboty, mimo, że siostra piorunowała wszędzie głośno przeciw pijaństwu i za żadną cenę nie byłaby pozwoliła nikomu zresztą z czeladzi wypić za jej wiedzą wódki. Wosinka jedynie sama częstowała, wiedząc, że chłopak niezmiernie lubi zaglądać do kieliszka.

Za tę właśnie żyłkę jego do pijaństwa, nie lubiła go klucznica Teklunia i krótko trzymała krnąbrnego od lat dziecinnych a coraz bardziej hardego ogrodniczka.

On też może jeden był zadowolony z tego, że starą Teklunię na bok usunięto w ostatnich czasach od władzy, a rządy objęła w całym domu wyłącznie siostra Felicya, która swego rygoru nie stosowała do niego tak — jak do innych, lecz przeciwnie, przez palce patrzała od pierwszego dnia na lekceważenie z jego strony obowiązków, skutkiem czego mógł on sobie po całych dniach próżnować swobodnie.

Wszak nie obawiał się nikogo. Zależał jedynie od samej Felicyi, jej zaś postępowanie względem niego uprawniało Wosinka raczej do poufałości niż do uległości.

Nie dziw tedy, że w podobnej okazyi, w jakiej przypadkiem znalazła się tam tercyarka późnym wieczorem w ciemnym ogrodzie, uznała ona, że najbezpieczniej będzie jej schować się do komórki ogrodniczka przy inspektach.

Zamysł swój wykonała ona w mgnieniu oka, zanim jeszcze psy zdążyły ze stróżem Baranem zbliżyć się w tę stronę parku.

Ogrodniczek na jej szczęście nie miał zwyczaju i potrzeby zamykania drzwi na klucz. Otwierały się one łatwo i bez hałasu. Więc odrazu znalazła się Felicya w jego izdebce, a czas był ostatni na ucieczkę, ledwie bowiem próg przestąpiła, usłyszała psie ujadanie już o kilkanaście kroków.

— No, teraz mogą sobie bestye szczekać — pomyślała uspokojona, gdyż liczyła na to, że skoro Baran w pobliżu nie spotka nikogo, nie będzie mu się wydawało podejrzane ujadanie psów w okolicy komórki ogrodniczka.

Zbudzony przez nią Wosinek przestraszył się w pierwszej chwili. Zbyt był zaspany po kilku kieliszkach wódki, wypitych przed wieczorem, by odrazu w ciemnicy mógł był zoryentować się, co zaszło.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Książę Almadovar.

Depesze doniosły, że zmarł przed kilku dniami w Madrycie hiszpański minister spraw zewnętrznych, ten sam, który przewodniczył niedawno konferencyi marokańskiej — Don Juan Manuel Sanchez Gutierez de Castro ks. Almadovar del Rio. Śmierć jego jest wielką stratą dla partyi liberalnej w Hiszpanii. Don Juan Gutieres w młodym wieku zaślubił księżnę Almadovar del Rio i w ten sposób zdobył tytuł książęcy. W parlamencie zasiadał na podstawie mandatu z miasta Kadyksu, przyłączył się do partyi liberalnej i został wybrany wiceprezydentem Izby. Był to człowiek nadzwyczaj bystry, a przytem bardzo wykształcony. Mówił płynnie po angielsku i po francusku. Obdarzony niezwykłym talentem oratorskim, zdobywał sobie aplauz wówczas nawet, gdy znani pierwszorzędni mowcy Castelar i Canovas del Castillo przemawiali w Kortezach. Nie należał nigdy do ciała dyplomatycznego, chętnie przebywał zagranicą, najczęściej w Anglii i w Niemczech, a to we własnych, prywatnych i interesach, posiadał bowiem olbrzymie winnice w Andaluzyi, zwłaszcza w okolicy Xerés. Interesował się przeważnie handlem, eksportem wogóle. a w szczególności eksportem wina. Był tego zdania, że Hiszpania może się podnieść politycznie wówczas jedynie, gdy mieć będzie dobry bilans handlowy.

Przy ostatniej rekonstrukcyi gabinetu hiszpańskiego pod przewodnictwem Moreta, objął był ks. Almodovar tękę ministra spraw zagranicznych na kilka tygodni przed konferencyą w Algesiras. Nie po raz pierwszy jednak zasiadł wtedy na fotelu ministeryalnym. Był ministrem już poprzednio, w chwili nader krytycznej dla Hiszpanii, a mianowicie w r. 1898, gdy Hiszpania tak sromotny poniosła pogrom w wojnie z Ameryką. Wówczas kierował nawą państwową Sagasta, a poseł Leon y Bastillo został wysłany do Paryża, celem pertraktacyj pokojowych z Ameryką. Po druzgocących klęskach, jakie odniosła Hiszpania, nie mógł ks. Almadovar przeszkodzić temu, by Ameryka nie zabrała wszystkich prawie kolonij hiszpańskich. Pomimo, że ówczesny rząd stał się skutkiem zawartego pokoju ogromnie niepopularny, ks. Almadovar wyszedł z tej katastrofy obronną ręką. Gdy nie siedział już na ławie ministrów, przeszedł do opozycyi, i jako poseł z miasta Kadyksu, niejednokrotnie zabierał w Izbie głos, zawsze przez wszystkie stronnictwa uważnie słuchany. Popierał nieustannie politykę korzystnych traktatów handlowych, a wyrażał zdanie, że najlepszą polityką Hiszpanii jest... by wcale nie robiła polityki.

Ks. Almodovar był wielkim zwolennikiem Anglii i wysłał tam syna dla studyów. Córkę wydał za margrabiego de Hoyos, krewnego austryackiej linii margrabiów Hoyosów. W Algesiras usprawiedliwił ks. Almadovar chlubną opinię, jaką otaczali go ziomkowie. Obradami kierował poważnie, bezstronnie, spokojnie, starając się o to, by retoryka nie zabierała za wiele czasu. Ile razy sposobność do tego nadarzyła się, usiłował zawsze łagodzić konflikty między Francyą a Niemcami. Jako mąż stanu wyrażał zawsze zapatrywanie, że Hiszpania musi prowadzić politykę objektywną i nie przyłączać się ani do trójprzymierza, ani do aliansu podwójnego. Takiej polityki absolutnej neutralności Hiszpanii wobec handlu wszystkich państw europejskich był on przedstawicielem do końca życia.

Zagadki do nagrody.

Szarady.

I.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Między Żydówkami *wspak drugie — wprost trzecie*,
Pierwszą w alfabecie z pewnością znajdziecie.
Z całościami uczeń nieraz się boryka,
A winna jest temu ta — arytmetyka.

II.

Ułożyła H. Mokrzycka, Turbia.

Wiązankę daję wam kwiatów
Z malw, irysów i bławatów,
Z nieśmiertelników i z liści konwalii,
Bo *całość* jako bukiet przewonny się pali.
Z każdego słowa weźcie po literze
A z sześciu liter wstanie słowo znane,
W życiu go każdy człowiek szuka szczerze,
Bo jest za rozkosz największą uznane.

Logogryf.

Ułożył K. Fuchs, Peczeniżyn.

Ze zgłosek: asz, ba, bi, bo, dacz, e, e. guid, hon, ja, ki, ko, li, me, na, na, nia, niec, nik, pa, per, po, ra ren, ro, ryk, san, ta, tnik, wed, ya — ułożyć 12 wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko zmarłego niedawno dramaturga, a końcowe, czytane w tym samym kierunku, tytuł jednego z jego najlepszych dzieł.

Znaczenie wyrazów: 1. Znana nazwa żołnierza węgierskiego. 2. Imię słynnego w starym Zakonie proroka. 3. Nieprzyjemna dolegliwość, gdy się ma nagniotki. 4. Człowiek pracy. 5. Rzeka w Ameryce. 6. Sławny Polak, astronom. 7. Państwo azyatyckie, wsławione w ostatnich dwu latach. 8. Miejsce w kościele, przeznaczone dla kobiet. 9. Bardzo smaczna ryba. 10. Imię męskie. 11. Rzeka w Dalmacyi.

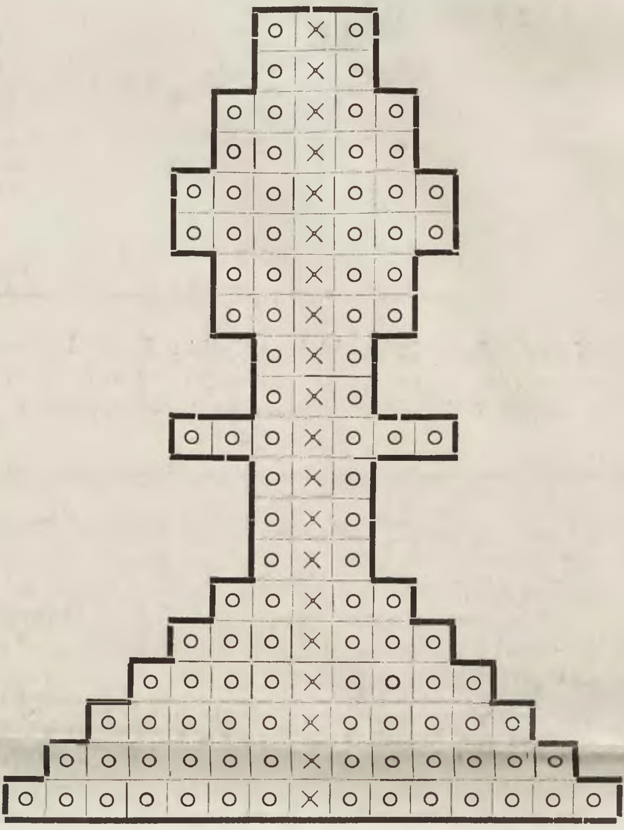
Zadanie arytmetyczne.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Kupiec zamówił w składzie 100 metrów materyi w czworakim gatunku za 100 złr. Ceny materyj były następujące: 1. gatunek w cenie 2 złr. 80 ct. za metr, 2 gatunek w cenie 2 złr za metr, 3 gatunek w cenie 1 złr., a czwarty 80 ct. za metr. Ile metrów z każdego gatunku przysłano owemu kupcowi?

Zagadka.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

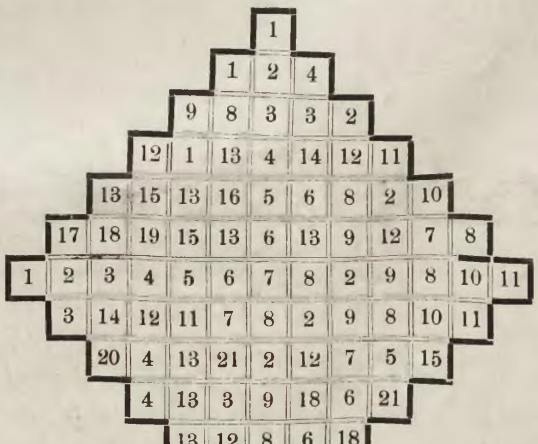


Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, dały określenie pewnego doniosłego znaczenia wypadku, jaki miał miejsce przed niedawnym czasem w Madrycie.

Znaczenie wyzów: 1. Imię żeńskie. 2. Rzeka we Włoszech. 3. Bóg złego u Greków. 4. Rodzaj palm. 5. Pieniądz grecki. 6. Imię cesarza Niemiec. 7. Największy poeta włoski, autor „Boskiej komedyi“. 8. Imię żeńskie 9. Miara gruntu. 10. Rodzaj afrykańskiej papugi. 11. Czarna jagoda u nas pospolita, doskonałe są pierożki z tą jagodą. 12. Tytuł każdego większego urzędnika w Turcyi. 13. Tyle co książę, zwłaszcza we Francyi. 14. Inaczej samodzierżca Rosyi. 15. Imię męskie, wzięte z przysłowia: „wyrwał się jak — — z konopi. 16. Imię żeńskie, znaczące tyle, co Bogu miła. 17. Poeta polski z XVII. wieku. 18. Dwa kwiaty. 19. Nazwisko dwóch powieściopisarzy polskich. 20. Dwa imiona męskie, u nas bardzo częste, połączone przez „i“.

Arytmogryf.

Ułożył Oskar Tłuchowski, Warszawa.



W miejsce cyfr wstawić litery w ten sposób, aby litery środkowe, w pionowym i poziomym czytane kierunku, utworzyły nazwisko jednego z najwybitniejszych członków Dumy,

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Jeden z dawnych tytułów we Francyi. 3. Były premier w Rosyi. 4. Ziele lecznicze. 5. Miasto na Morawach. 6. Hetman z czasów Sobieskiego. 7. ? 8. Poseł do Dumy z miasta Warszawy. 9. Drugi wiceprezydent Dumy. 10. Poseł do Rady Państwa z Królestwa Polskiego. 11. Drzewo. 12. Wykrzyknik. 13. Spółgłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya jako nagrodę **2 funty karmelków** z cukierni lwowskiej J. Michalika w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 25.

Szarady.

I. Kabała. — II. Gliceryna.

Logogryf.

Nosacizna, **o**lcha, **W**ajgacz, **y**, **G**rodno, **A**dam, **B**atory, **i**gła, **N**arcew, **e**dukacya, **t**onsura, **b**erło, **E**liza, **C**remona, **k**ryminał, **A**nglia.

Nowy gabinet Becka.

Szarada „głoskowa“.

Beck — premier.

Zagadka trójkątowa.

Petrarka. jarmar**k**, marmu**r**, Halk**a**, Amu**r**, ko**t**. **re**, **p**.

Petrarka.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Fuchs Peczeniżyn, J. Lipińska Okno, Z. Szymczakowska Zakopane, J. Kulczyńska Zakopane, J. Wesoła Zakopane, K. Bobek Zakopane, Fr. Oborniak Budapeszt, St. Nidjol Kraków, Fr. Janicki Łazy-J. Wodziczkówna Germakówka, L. Rączkowski Kraków, M. Arbesbauer Lwów, T. Bicz Sufczyn, B. Ramułtowa Jeżów, Strzałkowski Lwów, Fr. Kośmider Nowy Sącz, M. Małaczyński Pikułowice, M. Pfeiffer Przemyśl, O. Tłuchowski Warszawa, Z. Ziębowicz Mikołajów, F. Misińska Podmojsce, A. St. Bassara Niwiska, S. Samueli Limanowa, Dr. J. Kasparek Lwów, T. Wasiewiczowa Baranów, H. Plechawska Stanisławów, K. Jasiński Kraków, St. Szwabowicz Żurawno, K. Chodkiewicz Zbydniów, M. Gerstman Dobrostany, Wł. Nowiccy Wiśnicz, W. Wieroński Kraków, Urząd pocztowy Starzawa, Fr. Niepokój Krosno, Tow. „Zgoda“ Krosno, K Jurkiewicz Tłumacz, Malicki, Tarnoruda, St. Staśko Dębniki, A. Surowiecki Kraków, A. Batko Lwów, Al. Bocsoń Bóbrka, J. Czechowicz Mikołajów, Z. Ciechanowska Stary Sambor, J. Jaroszkówna Przybysławice, M. Weimerowa Przybysławice, A. Mussil Truskawiec, Bl. Pieterkiewicz Czerniowce, C. Głębocki Kraków, J. Barański Lwów, M. Świtlikowa Rzeszów, H. Zielińska Manajów, H. Ulrych Malin, E. Bogdalska Koroduż, M. Rożański Gorlice, St. Łaszkiewicz Dębica, Wł. Karatnicki Worochta, J. Aleksandrowicz Kraków, Fr. Angielczykowski Lubaczów, A. Krausowa Dobromil, Dr. E Zadurowicz Turka, A. Rachwał Ropczyce, W. Czaczka Rzeszów, H. A Żralski Podgórze, Wł. Haldziński Lichwin, St. Hajdeczko Sieniawa, J. Sulkowski Kraków, J. Biegoń Sucha, J. T. Flura Uhnów, J. Haładej Górki, P. Paszkowska Fiume, Wł. Kiselewski Stryj, H. Mokrzycka Turbiz, Fr. Kalita Gawłuszowice, J Kamińska Kołomyja.

Nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek otrzymał przez losowanie p. **Karol Chodkiewicz w Zbydniowie.** Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki nagrody.

NADESŁANE.